



NR 10 (698)

GAZETA BIESZCZADZKA

CZASOPISMO REGIONALNE

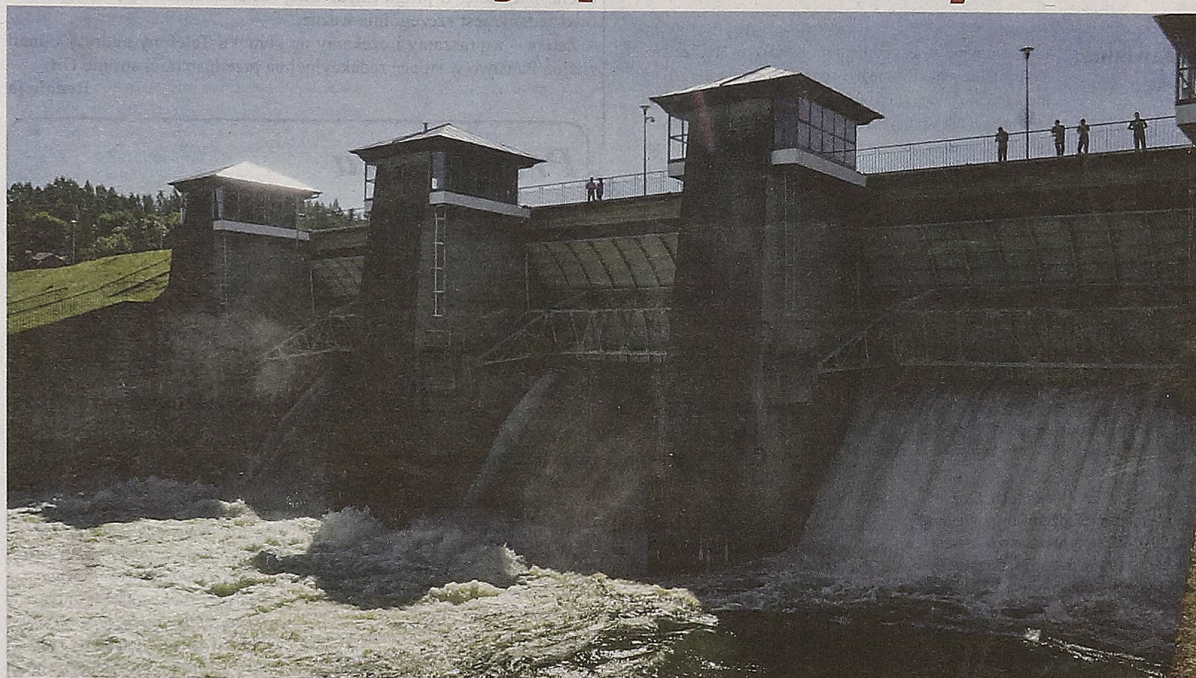
www.bieszczadzka24.pl

ROK XXX 12. 06. 2020 r. 3,00 zł (w tym VAT 5%) ISSN 1231-9333 INDEKS 323659 Nakład 1600 egz.

Baligród - Cisna - Czarna - Komarcza - Lesko - Lutowiska - Olszanica - Solina - Ustrzyki Dolne

Ekolodzy przerwali plany elektrowni

Zrzutu wody (na razie) nie będzie



Zrzut wody z zapory w Myczkowcach, rok 2017

Fot. Jacek Bis

Organizacje przyrodnicze podniosły alarm, bo władze elektrowni w Solinie zapowiedziały zrzut wody z zapory w Myczkowcach do Sanu. Według WWF Polska, wielka fala zmiotłaby młode lipienie, pstrągi i głowacice. Oprócz tego ucierpiałyby też gniazdujące w pobliżu ptaki.

WWF Polska wysłała do zarządu PGE Energia Odnawialna S.A., właściciela Zespołu Elektrowni Wodnej Solina-Myczkowce, pismo z wnioskiem o zaniechanie zrzutu. Kopia trafiła do zarządu PGW Wody Polskie. Wcześniej podobny wniosek wysłał Polski Związek Wędkarski w Krośnie, dokument otrzymała też Regionalna Dyrekcja

Ochrony Środowiska w Rzeszowie. „Okoliczne miejscowości, skupione wokół zapory i samej rzeki San, żyją także z turystyki wędkarskiej - zwłaszcza w sezonie jesiennym i wiosennym, który dla reszty turystyki jest tak zwanym sezonem „martwym”. Mimo, że istniejąca (...) zapora zniszczyła fragment zakola Sanu, rybom udaje

się tam odbywać tarło (m.in. lipienie i głowacice). To jednak niewielki procent zasobności rzeki sprzed budowy tamy” - piszą aktywiści WWF.

Ich zdaniem, gdyby doszło do zrzutu wody, narybek kilku ważnych gatunków zostałby zniszczony. W dół rzeki spłynęłyby nieprzystosowane do silnego nurtu pstrągi, ale też muł i

Nie wszystko kiedyś było złe



Rozmowa z Barbarą Mórańską, byłą sekretarzem propagandy w Komitecie powiatowym PZPR w Ustrzykach Dolnych i Lesku, gminnym inspektorem oświaty, dyrektorką poradni wychowawczo-zawodowej - o budowie szkół, utraconym powiecie i żółtaczce.

Czytaj str. 10

mnóstwo śmieci, które są wyrzucane na brzegach przez pseudoturystów i nieświadomych niebezpieczeństw mieszkańców pobliskich wsi.

Zagrozone ptactwo

Leon Dobrowolski, prezes Koła Wędkarskiego „Pstrąg” w Olszаницy, rozumie, że elektrownia musi spuszczać wodę do Sanu, ale sprzeciwia się terminom. - Czerwiec to zły czas, w ogóle najlepiej by było, gdyby zrzucali wodę późną jesienią lub zimą - przekonuje. - My jako wędkarze zarybiamy San, ciężko pracujemy, by w rzece mnożyły się lipienie czy głowacice, a jedna nieprzemyślana decyzja może to wszystko zrujnować.

Wędkarz zwraca też uwagę na ptactwo wodne. Przypomina sobie sytuację, kiedy wraz z kolegami spotkał pod Myczkowcami przyrodnika z Krakowa. - Ten człowiek pochylał się nad każdym krzakiem i tłumaczył, że w tym rejonie gniazduje dużo ptaków, a nagły przybór wody mógłby być dla nich śmiertelny.

Co mówią w WWF

W latach 50. i 60. XX w. zbudowano zespół zapór i elektrowni wodnych na zakolu Sanu, zyskując tym samym dobre warunki do produkcji energii. Jednocześnie zdegradowano drożność rzeki dla żywych organizmów, zaburzono przepływy środowiskowe i zniszczono naturalne wartości rzeki. Fragment Sanu, zwany Starym Sanem, został odcięty od wody, a ta jest tłoczona „na skrót” prosto do elektrowni w Myczkowcach. W wyniku tego odciecia woda nie płynie starym korytem, które zaczęło się wypłycać i zarastać. W związku z tym elektrownia chce zrzucić ogromne ilości wody (szacuje się, że nawet 150m³/s), aby przepłukać koryto.

Ornitolog Przemysław Kunysz z Przemysła mówi, że na wysypkach na Sanie, w pobliżu zapory w Myczkowcach, gniazduje różnorodne ptactwo, między innymi brodziec piskliwy, brzegówka zwyczajna, nurogęś czy zimorodek. Stąd każdy zrzut wody z zapory powinien być dobrze przemyślany.

ciąg dalszy na s. 2

Przedsiębiorstwo Produkcyjno - Handlowe

DANKROS

100% WOOD
PREMIUM QUALITY

100% ECO

PELLET DRZEWNY

- GWARANTOWANA WYSOKA JAKOŚĆ
- NISKA ZAWARTOŚĆ POPIOŁU
- PRODUKT PRZYJAZNY ŚRODOWISKU
- PAKOWANY W WORKI 15 KG LUB W WÓRKI BIG BAG

EN plus A1
PL 023

Krościenko / 38-700 Ustrzyki Dolne www.dankros.com
tel / 13 461 14 69 dankros@dankros.com

FREZOWANIE ROZWIERCANIE KOMINÓW

Wkłady
żaro - kwaso
odporne
sprzedaż - montaż

+48 604 500 288

www.rozwiercaniekominow.pl

AUTOMATYCZNE UKŁADY NAWĘGLANIA



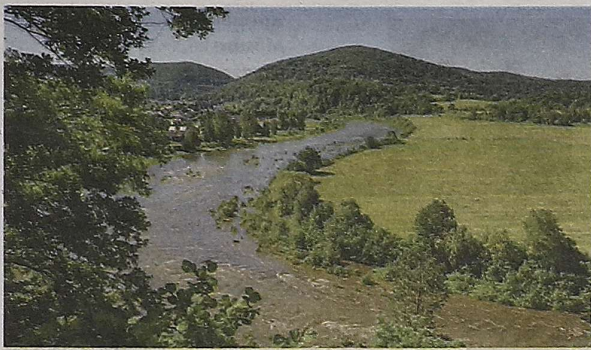
PODAJNIKI NA:
EKOGROSZEK, MIAŁ, PELLET, OWIES.
OD 12KW DO 150 KW

+48 605 530 288



Zrzutu wody (na razie) nie będzie

ciąg dalszy z s. 1



Efektom zrzutu wody z zapory w Myczkowcach jest podniesienie się jej stanu w starym korycie Sanu
Fot. Jacek Bis

Zajmuję się na co dzień ptakami, ale wiem też, że zbyt nagłe podniesiony poziom wody jest szkodliwy dla małych lipieni. Nie dziwię się zatem protestom wędkarzy. Na zarybianie rzek są przeznaczane państwowe pieniądze, tymczasem może się okazać, że zostaną wyrzucone w błoto.

Mała woda, duży problem

Ale nie wszyscy wędkarze uważają, że zrzucanie wody z zapory jest zabójcze dla narybku. – To przesada

– twierdzi Grzegorz Karabanowski, szef Koła Wędkarskiego „Sazan” w Ustrzykach Dolnych. – Woda wpływa silniejszym strumieniem do Sanu rokrocznie, a ryba sobie z taką falą radzi. To nie nadzwyczajnego, pod warunkiem, że rzeka jest zasilana czystą wodą, a nie z dużą ilością mułu.

W opinii Karabanowskiego problemem dla głowiaczy, pstrąga i lipienia nie jest wysoka fala, lecz niski stan wody. W ostatnich latach taka sytuacja występuje coraz częściej, nie tylko na Sanie, i wtedy ryby rzeczywiście są zagrożone. Brakuje im wody i tlenu. To ogólniejszy problem, wynikający z niskich opadów deszczu i coraz słabszych zim.

Zrzut wody z elektrowni w Myczkowcach miał być przeprowadzony 5 czerwca. Po apelach ekologów, PZW i RDOŚ – został odłożony na nieokreślony jeszcze termin.

pot

Stanowisko PGE Energia Odnawialna, Oddział ZEW Solina-Myczkowce

Obowiązek wykonania zrzutu wody jałowej z zapory w Myczkowcach realizowany jest w oparciu o pozwolenie wodnoprawne, wydane 29 marca 2013 roku przez Marszałka Województwa Podkarpackiego. Według treści pozwolenia na Oddział Zespołu Elektrowni Wodnych Solina-Myczkowce nałożony jest nakaz wykonywania takich zrzutów dwa razy w roku, w okresie jesiennym

i wiosennym, w uzgodnieniu z RZGW w Rzeszowie. Zrzuty takie realizowane były począwszy od roku 2014 i mają na celu przeciwdziałanie zakorzenieniu się zbędnej roślinności tak w korycie rzeki San, jak i na zalewanych terasach. Wnioski płynące ze strony społecznej, jakimi są organizacje ekologiczne, są jak najbardziej brane pod uwagę nie tylko w tej sprawie, a również przy całości eksploatacji Oddziału ZEW Solina-Myczkowce, a żadne działania podejmowane przez Oddział nie mogą wpłynąć negatywnie na środowisko naturalne.

Epidemia jeszcze nie minęła, ale wielu zachowuje się tak, jakby jej w ogóle nie było

Groźny patogen nadal aktywny

W powiecie bieszczadzkim nikt nie choruje na Covid-19, jednak szczyt zakażeń dopiero przed nami. Lekarze przestrzegają, by nie lekceważyć przepisów.

W Polsce dotąd koronawirusa stwierdzono u ponad 25 tys. osób, 1153 zmarły, a 12641 wyzdrowiało (dane z 7 czerwca). Na świecie Covid-19 wykryto u ponad 7 milionów ludzi. Wciąż najwięcej zakażeń jest w Stanach Zjednoczonych, gdzie od tygodni trwają masowe protesty, co ułatwia rozprzestrzenianie się epidemii. W USA choruje już ponad 2 mln osób, a zmarło ponad 110 tysięcy. Szybko rośnie liczba zakażeń w Ameryce Południowej i Afryce.

Powrót do normalności

Europejskie kraje luzują obostrzenia i otwierają granice. W niektórych państwach odbywają się koncerty, czynne są znowu siłownie i kina. Polska od czerwca jest wśród krajów, w których obowiązuje najmniej obostrzeń – mimo tego, że liczba zakażeń nie spada. 6 czerwca odnotowano największą liczbę zakażeń od początku pandemii – 576 nowych potwierdzonych przypadków.

Rząd zdecydował, że utrzymuje zniesienie obowiązku noszenia maseczek, który wprowadzono 30 maja, a stawia tylko na obowiązek zachowania dwumetrowego dystansu. Maseczki konieczne są tylko m.in. w sklepach czy kościołach. Zdecydowano też, że w sklepach i punktach gastronomicznych nie będą obowiązywały limity osób w zależności od powierzchni lokalu, a w

kościółach – limity wiernych. Dozwolone są też zgromadzenia na powietrzu do 150 osób – w tym organizacja wesel czy koncertów. Otwarto kina, teatry, salony masażu, solaria, siłownie, baseny i kluby fitness.

Szczyt przed nami

Lekarze alarmują, aby nie dać się ponieść „wolności” i przestrzegać dystansu społecznego oraz nosić maseczki. Andrzej Matyja, prezes Naczelnej Rady Lekarskiej, obawia się, że szczyt epidemii może nadejść tuż przed zaplanowanymi na 28 czerwca wyborami prezydenckimi. – Jestem przerażony tym, co się dzieje. Może się okazać, że przed wyborami odnotujemy wzrost zachorowań, a wybory odbędą się tylko korespondencyjnie. Zniesienie restrykcji jest nie tylko niezrozumiałe, ale i nieodpowiedzialne.

Jak zauważają mieszkańcy Bieszczadów, turyści odwiedzający nasz teren nie nosili maseczek nawet wtedy, gdy wszędzie były obowiązkowe. Teraz jest podobnie. – Ludzie wchodzi do sklepów bez maseczek, a ekspedientki nie zwracają im uwagi. Są to w większości osoby przyjezdne, co widać po rejestracjach samochodowych – twierdzi pani Anna z Bóbrki. – To samo na zaporze. Widzę, że policjanci wciąż zatrzymują osoby, które nie przestrzegają dystansu i mają odstonięte twarze, ale chyba nie wypisują im mandatów, a jedynie zwracają uwagę.

W czasach pandemii niektóre komendy policji mogły podreperować swój budżet. Np. w Jasle (jak podaje wirtualnejaslo.pl) za brak maseczek u

przechodniów (także u osób znajdujących się w pomieszczeniach) policja wystawiła mandaty na ponad 5 tys. zł.

A w Bieszczadach... – Staramy się prowadzić działania prewencyjne. Nie wypisaliśmy ani jednego mandatu – mówi podkom. Aleksandra Wołoszyn-Kociuba, rzecznik Komendy Powiatowej Policji w Ustrzykach Dolnych.

Na prewencję stawia również policja w Lesku. – U nas nie było dużo takich mandatów, bo policjanci starali się najpierw porozmawiać, dotrzeć do takiej osoby, wytłumaczyć jakie są przepisy – informuje asp. sztab. Katarzyna Fehner, rzecznik Komendy Powiatowej Policji w Lesku. – Jak był obowiązek zasłaniania nosa i ust, to policjanci podczas patroli też starali się pouczyć mieszkańców. Niestety ludzie nie zawsze to rozumieli, szczególnie starsi bagatelizowali ten obowiązek, kiedy szli na spacer lub do sklepu.

Konieczny dystans

Obecnie w Bieszczadach przebywają setki turystów z Polski. Policja wciąż przypomina o obowiązku zachowania dystansu oraz odpowiedzialności społecznej. – Nie chcemy karać mandatami, wierzymy, że mieszkańcy i turyści sami rozumieją jak ważne jest przestrzeganie przepisów sanitarnych – zaznacza Katarzyna Fehner.

Pamiętajmy – w miejscach, w których nie jest możliwe utrzymanie dwumetrowego dystansu społecznego, wciąż musimy nosić maseczki.

paba (Ministerstwo Zdrowia, WSSE Rzeszów)

Wciąż zmieniamy naszą Gazetę, staramy się tworzyć nowe kolumny i rozwijać dotychczasowe, ale żeby to robić w należytym wymiarze – potrzebujemy więcej osób do współpracy. Wiemy, że w Bieszczadach i okolicy nie brakuje ludzi z pasją, rozmiłowanych w języku polskim, umiejących pisać, rysować, fotografować, tworzyć projekty graficzne. Dlatego serdecznie zapraszamy do współtworzenia naszego dwutygodnika.

Gazeta zaprasza w swoje progi

Pracujemy nad nową szatą graficzną GB; chcemy, by stała się bardziej nowoczesna, przejrzysta, dynamiczna, kolorowa. Ostrożnie planujemy też zwiększenie liczby stron z 16 do 20, ale warunkiem jest podjęcie współpracy z nowymi adeptami pióra (bądź dziennikarzami już doświadczonymi, lecz nieczynnymi zawodowo), by czasopismo było różnorodne i by każdy Czytelnik znalazł w nim coś dla siebie. Progi redakcji Gazety Bieszczadzkiej otwarte są dla wszystkich, niezależnie od przekonań politycznych czy religijnych. Nie będzie miejsca jedynie dla tych, których skrajne poglądy choćby ocierają się o antysemityzm, rasizm, szowinizm, ksenofobię – bądź też są już skryształizowane w ich niebezpiecznym wymiarze.

Potrzebujemy ludzi z zacięciem dziennikarskim, by pisali o problemach społecznych, gospodarczych, samorządzie, historii, sporcie, turystyce, przyrodzie, kulturze. O wszystkim, co może zainteresować Czytelników mieszkających w Bieszczadach oraz tych zaojczy regionu, którym Bieszczady są bliskie. Mamy szansę zbudować ciekawy zespół i tchnąć nowego ducha w Gazetę. U progu trzydziestej rocznicy istnienia dwutygodnika owo zadanie jest szczególnie ważne.

Zatem – zapraszamy i czekamy na kontakt. Telefony i adresy e-mail znajdują Państwo w stopce redakcyjnej na przedostatniej stronie GB.

Redakcja

Przymiarka

Wystarczy się rozejrzeć dokoła, by zobaczyć, że aczkolwiek spóźnieni, to jednak zaczynamy. O tym, co dzieje się pod cudzym dachem, dowiadujemy się głównie z telewizji. Zarówno szefowie wielkich ośrodków wczasowych, jak i gospodarze z turystycznej mikroskali – właściciele gospodarstw agroturystycznych – chętnie prezentują widzom zakres swych działań zmierzających do sprostania i oczekiwaniom przyjezdnych, i wymogom epidemii. Pokój dla gości z wyposażeniem tak skomponowanym, by łatwy był do dezynfekcji, sanitariaty pod wzmocnionym nadzorem, sale konsumpcyjne ze stolami rozstawionymi z rozrzutem godnym pisemnych egzaminów maturalnych. Tu stolik, tam stolicek, a tam półeczka z odkażalnikiem, którego zapasów są pełne piwnice.

Bieszczady, jak i cała turystyczna Polska, przeboleły już brak inauguracji sezonu wielkim majowym weekendem, corocznym sprawdzianem gotowości. Aktualnie, przedwakacyjne antywirusowe działania wewnątrz obiektów idą parze z tym, co od wielu już lat towarzyszyło przygotowaniu do sezonu letniego. Sprzątamy, czyścimy, pucujemy. Czynimy to pod dumnym szyldem Dnia Ziemi, w ramach którego z impulsu bieszczadzkiej, lutowskich leśników zaabano nie tylko o czyste góry, ale i pobożca dróg do nich wiodących. Czynimy też na skalę małą – trawników wokół domów wczasowych, domków campingowych czy zieleni w gospodarstwach agroturystycznych.

Między falami ulewnego deszczu, często kraszonego gradem, niósł się w końcu maja huk kosiarek pracowicie strzygących trawę. Przyjadą goście z miasta i ma być pięknie niczym na piłkarskim stadionie. W krótkiej zielonej szczytnie nie zgubi się miejski piesek, kleszcz się nie uchowa, a zapewne i wirus ma



Po co w trawie piszczy

mniejsze niż w kępach trawy szanse. Niech sobie w wielkich aglomeracjach samorządów z inspiracji ruchów miejskich wprowadzają zamiast trawników kwietne łąki. Jak taką mają estetykę, jak w taki sposób chcą chronić zasoby wilgoci i siedliska przenoszących kwiatowe pyłki owadów, to ich sprawa. My wszystko, czego nie uda się eurokostką wybrukować, wystrzyżemy na równo i będziemy strzyc do jesieni. Niech przyjezdni zobaczą, zapamiętają i zazdroścą.

Po wiosennych epidemicznych restrykcjach dochodzimy więc właśnie, a praktycznie już doszliśmy, do stanu pełnej gotowości dostosowanej do nowych warunków. Teraz, gdy nastaje lato, a nasze relacje z wirusem wciąż nie do końca są jasne, przyszedł czas przedwakacyjnego, jeszcze weekendowego jedynie sprawdzania realnych możliwości wdrażania nowych rozwiązań. Przyjmą się? Sprawdzą się? Czy ludzie – goście, wczasowicze, turyści – to kupią, bo dla nich to przecie? Czy obozowicze, koloniści, od kilku miesięcy spragnieni bliskiego kontaktu z rówieśnikami, wytrzymają okrutny sanitarny reżim. Można, jeśli trzeba, kapać się w odkażalniku, ale nie można cieszyć się górami, lasem i wodą bez dzielenia się tą radością. Wakacje czy katorga, jakie to lato, jaka rekompensata za wiosenną samotność? Trzeba dobrze przemyśleć, jak to dzieciom mądrze powiedzieć.

JAKUB DEMEL

Na razie trzeba zapomnieć o rozspiewanych grupach z bieszczadzskich stanic

Harcerze chcą, ale nie mogą

W tym roku nie będzie długich obozów harcerskich, a co najwyżej biwaki. Młodzież musi uzbroić się w cierpliwość i liczyć na swobodny wypoczynek w przyszłości.

Wszystko przez pandemię koronawirusa. Wypoczynek letni dzieci i młodzieży w 2020 roku może być organizowany, ale przy uwzględnieniu ostrych ograniczeń sanitarnych. W warunkach obozowych są trudne do spełnienia.

Litania wytycznych

Uczestnicy kolonii czy obozu w dniu wyjazdu muszą być zdrowi. Mają to poświadczać rodzice w pisemnym oświadczeniu. Poświadczają też, że ich pociecha nie mieszała z osobą przebywającą na kwarantannie i nie miała kontaktu z kimś podejrzanym o zakażenie w okresie 14 dni przed wyjazdem z domu. Rodzice muszą podać organizatorowi wypoczynku numer telefonu zapewniający szybką komunikację. Zobowiązują się też do niezwłocznego - do 12 godzin - odbioru dziecka w razie wystąpienia u niego niepokojących objawów choroby (podwyższona temperatura, kaszel, katar, duszności).

W wytycznych Głównego Inspektora Sanitarnego i Ministerstwa Edukacji Narodowej znalazły się zapisy o organizacji warunków zakwaterowania, transportu i wyżywienia. Na przykład takie, że w jednym pokoju lub namiocie śpią uczestnicy z tej samej grupy, przy czym liczba osób zakwaterowanych w jednym pokoju nie może przekraczać czterech przy zachowaniu 4 m kw. powierzchni noclegowej na osobę. Organizator musi dysponować infrastrukturą obiektu lub obozowiska, umożliwiającą zapewnienie izolacji osobom z objawami wskazującymi na wystąpienie choroby, w tym w szczególności choroby zakaźnej.

Organizator wypoczynku musi m.in. zgromadzić środki higieniczne dla personelu i uczestników obozu/kolonii, dostęp do mydła, płynu dezynfekcyjnego i ciepłej wody. Powinna być też zapewniona możliwość natychmiastowej interwencji pielęgniarki bądź ratownika medycznego lub lekarza. To tylko niektóre wytyczne, pełna lista znajduje się na stronach internetowych GIS i MEN.

Nie będzie dużych obozów

Z obustrzeń są niezadowoleni zarówno rodzice, jak i organizatorzy. Kobieta, która w każde wakacje wysyłała dziecko na obóz



Takich harcerskich występów w tym roku nie będzie

Fot. Andrzej Górski

w Bieszczadach, mówi, że w tym roku jej syn zostanie w domu. - Mieszkam nad morzem i nie gwarantuję, że w razie kataru lub kaszlu zjawię się w ciągu dwunastu godzin w obozie w Bieszczadach - tłumaczy pani Małgorzata z Gdyni. - Proszę popatrzeć na nakazy stawiane harcerzom. Są z kosmosu. Ciepła woda non stop w kranach? To przecież nie wczasy.

W tym roku nie będzie dużych obozów w Czarnej, Dwerniku, Woli Michowej czy w Nasiecznem. Niektóre stacje przyjmą u siebie mniejsze obozy wędrownie lub turystów, którzy mogą korzystać z domków, pól namiotowych bądź miejsc dla kamperów. Jednak zanim obozy zaczną działać, komendanci

muszą się zająć interpretacją przepisów oraz sprawdzaniem wciąż powstających nowych rozporządzeń.

- Nie wiem jak będzie, sytuacja rozwija się dynamicznie, z dnia na dzień wydawane są przez GIS nowe komunikaty czy tworzone nowe zasady przyjmowania młodzieży na obozach - opowiada harcmistrz Artur Pałucki, komendant Harcerskiej Bazy Obozowej Chorągwi Gdańskiej ZHP „Nasieczne”. - Muszę pojechać do sanepidu w Ustrzykach i osobiście wszystko wyjaśnić. Okazuje się, że inaczej te przepisy interpretuje sanepid w Trójmieście, skąd jest nasz hufiec, a inaczej bieszczadzki.

Jak izolować chorych?

Dodatkowym problemem jest zapis mówiący o izolowaniu ewentualnych chorych, a w zasadzie brak konkretnych przepisów. Wiadomo na przykład, że osoba przebywająca na obozie i mająca podwyższoną temperaturę powinna być izolowana razem z całą grupą, z którą przebywała. Ale nie wiadomo, w jaki sposób ma przebiegać taka izolacja, gdzie miałyby się znajdować takie osoby i kto brałby za nie odpowiedzialność. Inaczej jest bowiem z osobami pełnoletnimi, a inaczej z nieletnimi. Trzeba też pamiętać, że harcerskie izolatki liczą zazwyczaj od 1 do 3 łóżek.

- Niewiadomych jest zbyt dużo, dlatego w tym roku odpuscimy - informuje harcmistrz Arkadiusz Rudolf, Komendant Stacji Harcerskiej Chorągwi Dolnośląskiej w Czarnej Górze. - Przykro nam z tego powodu, ale nie jesteśmy w stanie zabezpieczyć stancji zgodnie z wymogami. Było duże zainteresowanie obozem i sporo grup już wcześniej zapisywało się na sezon letni. Ale w tym roku przyjadę sam lub z kilkoma osobami. Będziemy robić remonty oraz porządki w stancji. Możliwe, że na jakiś czas udostępniemy domki dla turystów. Na pewno początkiem sierpnia zapraszamy na zlot trabantów.

Stawiają na biwaki

Stanica Hufca ZHP Krosno w Woli Michowej na przyjazd młodzieży przygotowuje się od początku maja. - Boimy się i wiemy, że może być ciężko - nie ukrywa komendant obozu, harcmistrz Piotr Lubaś. - Nie zdecydowaliśmy się na długie obozy, tylko na pięciodniowe biwaki z ograniczoną liczbą harcerzy, od 30 do 50. Klasyczne dwutygodniowe obozy zostały wycofane, chociaż na początku było dużo chętnych.

Baza w Woli Michowej zawsze przyjmowała u siebie około 500 harcerzy. - W tym roku, jeśli przyjedzie połowa, to będziemy się cieszyć. W bazie zrobiliśmy taki rozkład, aby nie łączyć ze sobą poszczególnych grup. Jesteśmy jednak przygotowani i obóz jest ustawiony zgodnie z zaleceniami Głównego Inspektora Sanitarnego. Mamy maseczki, rękawiczki, płyny do dezynfekcji i miejsca do mycia rąk. Jest przygotowana izolatka, w obozie będzie też profilaktycznie mierzona temperatura. Wytyczne z GIS dostali poszczególni komendanci, którzy wszystkie pozwolenia mają zatwierdzone w swoich komendach. Harcerze tęsknią za zbiorcami, za dziką przyrodą i za sobą. Wiemy, że mamy szczególnie ciężki czas, lecz mimo wszystko jesteśmy pełni optymizmu.

Od kilku tygodni działa kwaterka w Nasiecznem. Tam również, z myślą o przyjęciu obozowiczów, prowadzone są remonty i porządki. Komendant Artur Pałucki nie ukrywa, że jeśli nie będzie obozowiczów, to zabraknie pieniędzy, a baza ma mnóstwo wydatków. - Będą straty, tymczasem mamy do spłacenia kredyt, który wzięliśmy na budowę mostu i domków. Ale ryzykować zdrowia dzieci oraz dorosłych, którzy pracują w obozie, nie będziemy.

Komendant ma nadzieję, że w Nasiecznem uda się ugościć niewielkie obozy wędrownie, chociaż ten pomysł będzie jeszcze dyskutowany z Chorągwią Gdańską. - Nie wyrzucę żadnego turysty, który po nocy trafi do nas na nocleg, choć to ryzykowne. Z moich obserwacji wynika, że nie wszyscy przestrzegają przepisów sanitarnych, a niektórzy wręcz uważają, że to ich nie dotyczy. Specjalnie kupiliśmy ozonator, aby dezynfekować domki i kuchnie, ale to nie oznacza, że można wszędzie chodzić bez masek i rękawiczek. Turysty zapominają, że nie są tu sami, a z powodu jednej nieodpowiedzialnej osoby może zostać sparaliżowana praca całego obozu.

Jak informuje Związek Harcerstwa Polskiego, jednostki organizacyjne ZHP zobowiązane są do wprowadzenia wytycznych MEN pod nazwą Harcerskiej Akcji Letniej 2020. „Jednocześnie ZHP wraz z pozostałymi organizacjami harcerskimi uzgadnia z Głównym Inspektorem Sanitarnym dalsze rozwiązania dla obozów”.

PAULINA BAJDA

Pani Redaktor
Paulinie Bajdzie
wyrazy współczucia z powodu śmierci

BABCI
składają koleżanki i koledzy
z Gazety Bieszczadzkiej
i Ustrzyckiego Domu Kultury

Pani
Elżbiecie Jełowickiej-Piotrowicz
wyrazy współczucia z powodu śmierci
TEŚCIOWEJ
składają koleżanki i koledzy
z Ustrzyckiego Domu Kultury

Panu Tomaszowi Piotrowiczowi
i jego Rodzinie
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

MAMY
składają
Zarząd Powiatu Bieszczadzkiego,
Rada Powiatu Bieszczadzkiego
oraz pracownicy Starostwa Powiatowego
w Ustrzykach Dolnych

Naszej Koleżance Ewie Lachowskiej
wyrazy głębokiego współczucia i słowa
wsparcia z powodu śmierci

MAMY
składają
Zarząd oraz koleżanki i koledzy z Miejskiego
Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej
Sp. z o.o. w Brzegach Dolnych

Głosuj na jodłę „Elżbietę”



Elżbieta Dzikowska na niecodziennej huśtawce

Fot. Edward Marszałek

W tegorocznym finale plebiscytu Drzewo Roku 2020 znalazła się jodła „Elżbieta”, rosnąca koło domu myśliwskiego w Muczne.

Leśnicy z Nadleśnictwa Stuposiany proszą o głosowanie na tę okazalą przedstawicielkę bieszczadzkiej jodły w corocznym konkursie Drzewo Roku, organizowanym przez Klub Gaja (na portalu www.drzeworoku.pl). Potężna jodła swe imię zawdzięcza Elżbiecie Dzikowskiej, słynnej podróżniczce i promotorce polskiej przyrody, która je sobie niegdyś upodobała.

- Bardzo się cieszę z tej nominacji, będę głosować i kibicować mojej imienniczce w konkursie – mówi Elżbieta Dzikowska. – Widziałam wiele wspaniałych drzew w życiu, ale ta jodła naprawdę mnie urzekła. Ona ma wielką moc i dźwiga na sobie bogactwo historii tej ziemi. W czerwcu chciałabym przyjechać do Muczne, by osobiście pomóc mojej jodle wygrać plebiscyt.

Wiek drzewa oceniany jest na co najmniej 160 lat, a od 2013 roku ma ono status pomnika przyrody. Obwód na wysokości piersnicy wynosi 480 cm, dzięki czemu w polskich lasach zajmuje ono trzecie miejsce pod względem grubości w swojej kategorii gatunkowej. Ma mocno rozbudowaną koronę, świadcząca, że niegdyś rosła na pastwisku, a wokół niej wiele się wydarzyło.

Zapewne pamięta czasy, w których bieszczadzkie wioski tętniły życiem, a obok siebie mieszkali Polacy, Bojkowie i Żydzi, działały zakłady produkujące potaż, beczki oraz meble, a w dolinie Muczne słychać było gwizd lokomotywy wąskotorówki.

Mieszkańcy Muczne trudnili się też wypasem bydła, stąd było, że jodła dawała pasterzom schronienie od słońca czy deszczu. Wśród ludzi krążyła legenda o nieszczęśliwej miłości pasterza do miejscowej dziewczyny. Szeptunka doradziła mu, by odrobić popiołu z kory jodłowej dosypał do wody i podał ukochanej. Elixir zadziałał, a od tego

czasu pasterz z dziewczyną co roku w cieniu jodły świętowali ten dzień. Być może o tej jodle wspomina ks. Erazm Skórnicki w swej epopei „W Karpatach” w rozdziale „Brenzberg”?

„Ale wróćmy już do tych, co pod lasem idą!

Właśnie teraz siadają pod jodły egidą, Starej grubej i wielkiej. Dziwne tu uczucie.

Ogrom ciebie przelacza. Usiądziesz, wnet uciekać stąd musisz czym prędzej z jakimś łękiem w duszy

I wolisz nikły krzaczek, którym wiatr poruszy;

Niżli taką potężną, niebotyczną jodłę.

A pastuchy, jak zwykle na igraszkę modłę,

Szeroko rozpalali przy jodle tuż blisko Z ubieranych gałęzi i szyszek ognisko.

Wypełnili więc dziuplę wielką z jednej strony.

Pień cały do gałęzi stał się osmolony. Stąd krzywda wyrządzona drzewu przez człowieka

Jakby zemsty żądała. I każdy ucieka jakimś strachem spod jodły...”

Podczas I wojny światowej jodła widziała na pewno kolumny wojsk rosyjskich zmierzające ku stokom Bukowego Berda, gdzie rozegrała się krwawa bitwa z Austriakami. W czasie II wojny światowej sama też doznała szkód; odstrzelono jej kawałek korony, stąd tak duże i zdeformowane konary na jej szczytach. W kilku miejscach na jej pniu można zobaczyć ślady po kulach, które dotkliwie ją raniły.

- Obecnie ten pomnik przyrody odwiedza wielu turystów, którzy coraz liczniej przybywają w okolice Muczne – mówi Jan Mazur, szef Nadleśnictwa Stuposiany. - Zadbaliśmy, aby w pobliżu jodły znalazła się wiatka, w której można odpocząć, a w ubiegłym roku dodatkowo ułożono kamienne schodki. Dzięki nim łatwiej jest podejść bliżej niezwykłego drzewa. Zachęcam do przyjazdu i do głosowania na „Elżbietę”.

Plebiscyt potrwa do końca czerwca.

EdM

Bieszczadzka „zielona granica” to jedyny odcinek w Polsce pilnowany przez konne patrole straży granicznej. W kilka godzin funkcjonariusze w siodłach mogą sprawdzić nawet 40 km granicy.

Aramis i Korynt na służbie

Ta forma służby na Podkarpaciu ma już ponad 25-letnią tradycję i nawiązuje do czasów, kiedy w latach 20. i 30. XX stulecia granicę ochraniały żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza.

Osiem koni rasy „polski koń szlachetny półkrwi” pełni służbę w dwóch placówkach SG - w Ustrzykach Górnych i w Czarnej Górze. Korynt, Wasal, Feniks, Aramis, Pasat, Bachmat, Falcon i Kaprys - to czteronożni kompani, którzy dla pograniczników są doskonałym uzupełnieniem nowoczesnych technologii wykorzystywanych na granicy. Co szczególnie ważne w pracy - zapewniają ciche i szybkie przemieszczanie się w trudnym i różnicowanym terenie.



Strażnicy graniczni na koniach w Bieszczadach

Fot. BiOSG

- Funkcjonariusz na koniu podczas kilkugodzinnego patrolu jest w stanie sprawdzić nawet czterdzieści kilometrów granicy – informuje mjr Elżbieta Pikor, rzecznik BiOSG. - Wierchszobie są wyszkolone na wypadek sytuacji kryzysowych. Dobrze poradzą sobie w sytuacji ewentualnych strzelców i detonacji.

W skład grupy jeźdźców konnych BiOSG wchodzi kilkunastu wyszkolonych strażników, których łączy z końmi szczególna więź. Doskonale się znają, a konie idące na emeryturę często pozostają pod opieką swoich dotychczasowych opiekunów.

Wierchszobę z górskich placówek SG doskonale wpisują się w realia odcinka granicy obejmującego w części obszar Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Dzięki niezastąpionym cechom są wyjątkowym wsparciem w służbie i nie ingerują przy tym w przyrodniczą perłę Polski.

Oprac. paba

Poseł z biurem w Ustrzykach

W Ustrzykach Dolnych otwarto biuro poselskie posła SLD Wiesława Bużę. - Lewica wróciła w Bieszczady i już tu zostanie – mówi poseł.



Poseł Wiesław Buża na chwilę przed otwarciem swojego biura poselskiego w Ustrzykach

Fot. Paulina Bajda

Biuro ma być miejscem zrzeszającym wszystkie lewicowe partie. - Tak to sformalizujemy, aby mieszkańcy mieli po co i do kogo przychodzić. Zrobimy tu centrum informacji, które będę chciał przekazywać do stolicy i parlamentu. Chcę zwrócić uwagę na problemy, ale też i na sukcesy mieszkańców tego regionu – zapowiedział parlamentarzysta.

Jak twierdził, szczególnie zależy mu na poznaniu problemów bieszczadzkich przedsiębiorców oraz na tym, aby mieszkańcy nie byli w żaden sposób wykluczani. Obiecał, że będzie tu częstym gościem, a jesienią w Bieszczadach planowane jest posiedzenie części parlamentarnego Klubu Lewicy.

Obecny na spotkaniu burmistrz Bartosz Romowicz przypomniał, że chociaż jest członkiem Polskiego Stronnictwa Ludowego, to w spotkaniu uczestniczy jako osoba reprezentująca gminę i mieszkańców. - Z posełem Bużem od początku znaleźliśmy wspólny język. Przekonał się, że to, co usłyszał na mój temat od posłów Prawa i Sprawiedliwości, nie do końca jest prawdą i można z mną współpracować. Mam nadzieję, że to początek dobrej współpracy.

Biuro poselskie znajduje się w Ustrzykach Dolnych przy ul. Rynek 17. Asystenci społeczni będą tam dyżurować we wtorki od 9 do 11 oraz w środy i piątki od 10 do 14.

paba

Dziwny rok w przyrodzie

Rok 2020 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś kłeski i nadzwyczajne zdarzenia. Tak najprawdopodobniej kronikarze naszych czasów będą parafrazować mistrza Sienkiewicza. Rzeczywiście, takiego początku roku dawno nie mieliśmy. I nie chodzi mi tu nawet o ogarniającą cały świat pandemię, a o pogodę i co za tym idzie – zachowanie przyrody.

Tegoroczna zima nie przypominała tej chociażby z poprzedniego sezonu. Śniegu było zdecydowanie mniej. I jeśli u nas, w Bieszczadach, trochę popadało i mogliśmy nacieszyć oczy białą odśloną stycznią i lutego, to w pozostałej części kraju dzieciaki nawet raz nie rzuciły białą pigułką. O ulepieniu bałwana nawet nie wspominając. Brak topniejącego śniegu spowodował obniżenie się wód gruntowych, przez co ucierpieli rolnicy, których zasiewy po prostu wyschły, jak i ta bardziej dzika przyroda. Pożar w Biebrzańskim Parku Narodowym, gdzie żywioł pochłonął ponad 5 000 hektarów, które normalnie były zalewane, zamienił ten teren w suche jak pieprz trzciniowiska. To kataklizm, jakiego nie pamiętają najstarsi mieszkańcy. Stratę poniosły ptaki, które w tym czasie nad Biebrzą zakładały swoje legła, przychodzące na świat ptały, gady i ssaki. Nie wszystkim udało się uciec przed pożogą. Przyroda

na tych obszarach się odbuduje, ale ten rok jest dla jej olbrzymiej części stracony.

Następnie do roboty wzięła się temperatura. Tak zimnego maja i początku czerwca dawno nie było. Bieszczadzkie buki, które już wypuściły świeże liście, po jednej nocy, gdy temperatura spadła do minus 7 stopni, zrzucały i przypominają bardziej swą odśloną jesienią, zamiast cudownie soczyste wiosenną. Do tej pory gołym okiem widać różnicę pomiędzy bukami w dolinkach, a tymi na południowych stokach. Jakby wiosna przyszła tylko w niektórych miejscach. Duże straty ponieśli też zarówno profesjonalni, jak i domorośli (których w dobie pandemii koronawirusa zdecydowanie przybyło) hodowcy kwiatów czy np. pomidorów. Nie pomogły szklarnie, namioty foliowe, a nawet palone w nich znicze. Większość roślin przemarzała.

Na koniec zaczął padać deszcz. I tak na przykład w Cisnej lalo, śąpiło, mżyło, padało, było gradem przez trzy tygodnie. Powolnie sączące się strumyki zamieniły się w rwące potoki, a rzeki osiągnęły stany alarmowe. Jeszcze, żeby to były takie spokojne, ustabilizowane opady. Ale to były czasami sunące ściany wody, które tak gwałtownie przyspieszały bieg cieków, że podmywały drogi, niszczyły szlaki zrywkowe i wypłukiwały torby błota. Jako leśnik uwielbiam deszcz, bo niesie życie dla lasu. Jako mieszkaniec, który ma swoje obowiązki na podwórku,



Spod Łopiennika

już trochę mniej, a przynajmniej nie w takiej ilości. Żal było patrzeć na turystów, którzy podczas tygodniowego pobytu w Bieszczadach ani razu nie wrócili ze szlaku na sucho. Nie było również opowieści o zapierających dech w piersiach krajobrazach, gdyż wszystko zasłaniały chmury. Paradoksalnie, w pozostałej części kraju, dalej straszy susza.

Uff, wystarczy. Może ktoś, kto bawi się jakąś pogodową puszką Pandory, niech odłoży już zabawkę do kąta. Niech powróci w miarę normalna pogoda jak na połowę czerwca przystało. Toż za chwilę wakacje i głupio by było, żeby dzieciaki ganiały w swetrach i gumiakach. A i dorosłym wrócić do wakacji i głupio by było, żeby dzieciaki ganiały w swetrach i gumiakach. A i dorosłym wrócić do wakacji i głupio by było, żeby dzieciaki ganiały w swetrach i gumiakach. A i dorosłym wrócić do wakacji i głupio by było, żeby dzieciaki ganiały w swetrach i gumiakach.

MATEUSZ ŚWIERCZYŃSKI

Wracamy z akcją „Pies przy drodze” i szukamy wolontariuszy

Zwierzę nie jest zabawką

Zbliżają się wakacje, więc znów przypominamy – pies to nie zabawka. Wyjeżdżasz na urlop, nie porzucaj pupila w lesie! To przestępstwo, za które grozi więzienie i wysoka grzywna.



Pies nie jest zabawką. Trzeba się nim opiekować i nie porzucać, gdy nagle nam się znudzi
Fot. Mira Zalewska

O tym, że latem w okolicach Jeziora Solińskiego turyści porzucają swoje psy, pisaliśmy już wielokrotnie. Przypominaliśmy też, że porzucenie psa nie jest żadnym wykroczeniem. Właściciel, który to robi, łamie prawo do tego stopnia, iż grozi mu za to kara pozbawienia wolności do trzech lat; wrażliwy sędzia może zdecydować się na wydanie wyroku nawet pięcioletniej odsiadki. Sąd ma też obowiązek orzec nawiązkę w wysokości minimum 1000 zł, a w przypadku szczególnie okrutnego potraktowania zwierzęcia – do 100 tys. zł. Do schronisk i domów tymczasowych w naszej okolicy wielokrotnie trafiały znajdowane przy drogach psy, nierazdo rasowe, czasem z obrozą na szyi.

Skoro odwoływanie się do ludzkich umysłów nie przynosiło rezultatów,

postanowiliśmy odwołać się do sumień. Znacnie kogoś, kto powiedziałby, że nie ma sumienia? Ależ skąd! Wszyscy dookoła deklarują ogromną wrażliwość, więc daliśmy okazję się nią wykazać, organizując wraz ze Stowarzyszeniem Przewodników Turystycznych „Karpac” na terenie gminy Solina akcję „Pies przy drodze”. Piosenkę o takim właśnie tytule skomponował, zaśpiewał i nagrał krakowski kompozytor i wokalista Mariusz Wdowin. Jej słowa opowiadają o tym, co myśli i czuje porzucone, zrozpaczone, ale wiernie czekające na swojego „pana” przy drodze zwierzę.

Radio Rzeszów emitowało ten utwór przez cały sezon turystyczny, a krosnińskie wydawnictwo Ruthenus bezpłatnie wydrukowało kilka tysięcy ulotek. Na jednej stronie ulotki zamieściliśmy tekst piosenki „Pies przy drodze”,

na odrobiec zaś numer telefonu, pod który należy zadzwonić, gdy ktoś zauważy porzuconego psa. Na apel w kolportowaniu ulotek zgłosiło się wielu wolontariuszy, również z Leska i Ustrzyk Dolnych. W akcję włączyli się właściciele pensjonatów, sklepów, restauracji, sprzedawcy z solińskiego deptaka, parkingowi i mieszkańcy. Dzwonili rodzice, prosząc o ulotki, żeby ich dzieci mogły je rozdawać.

- Pewnego dnia na zaporze w Solinie sześciolatnia wolontariuszka Wioletka podała ulotkę mężczyźnie z psem na smyczy i z przejęciem powiedziała: „Bo psy, proszę pana, wszystko czują, tak jak dzieci, i serca też mają takie dziecięce, więc nie wolno ich porzucać, nie wolno krzywdzić...” - opowiada Mira Zalewska, mieszkanka Bieszczadów zaangażowana w inicjatywę „Pies przy drodze”. - Oznacza to, że służy ona nie tylko psom, ale i ludziom, rozwijając ich wrażliwość.

Zalewska dodaje: - Nie ma sposobu, by stwierdzić jednoznacznie, iż to właśnie te działania spowodowały, że w ubiegłym sezonie porzuconych psów było mniej niż w poprzednich latach, ale wznawiamy naszą akcję. Na razie tylko w gminie Solina, choć przygotowywane są ulotki do kolportażu na terenie innych gmin. W tym sezonie do pomocy przyłączyła się także Bieszczadzka Fundacja Organizacja Ochrony Zwierząt oraz TVP3 Rzeszów, której dziennikarze zrealizowali przy solińskiej zaporze pierwszy materiał na ten temat.

Czy warto się angażować? Zapytajcie swojego serca i psów ze schronisk. Chętni do pomocy w kolportażu ulotek mogą dzwonić pod nr tel. 883-319-777, do koordynatora akcji.

MZ

Ustrzyccy pasiecznicy starają się o nowy sztandar. – Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, nadamy go i poświęcimy 7 grudnia, w dniu świętego Ambrożego, patrona pszczelarzy – zapowiada Marian Maksymiec, prezes koła.

Pszczelarze zbierają na sztandar

Historia Koła Pszczelarzy w Ustrzykach Dolnych (jest ono częścią Polskiego Związku Pszczelarskiego) sięga lat 60. ubiegłego wieku. Od lat plasuje się blisko dziesiątki najlepszych kół w województwie podkarpackim, a jest ich aż sześćdziesiąt. Przyczyniają się do rozwoju pszczelarstwa, ochrony środowiska oraz popularyzowania polskiego miodu. Dzięki działaniom ustrzyckich pasieczników możemy cieszyć się zarówno dobrym urodzajem roślin, jak i różnego rodzaju produktami pszczelimi; służą mieszkańcom i wspierają turystykę. – Dlatego tak ważne jest dla nas, by mieć sztandar – zaznacza Marian Maksymiec. – Z tym pomysłem poszedłem do burmistrza Ustrzyk Dolnych, który powołał komitet honorowych fundatorów sztandaru.



Pszczelarze podczas pracy w pasiece

Fot. Sebastian Szczepny

- Sztandar to szczególny znak rozpoznawczy każdego koła pszczelarskiego - przyznaje Bartosz Romowicz Przewodniczący Komitetu Honorowego Fundatorów Sztandaru dla Koła Pszczelarzy w Ustrzykach Dolnych. - Takie działania nie tylko jednoczą kolejne pokolenia pszczelarzy, lecz także zobowiązują do szacunku dla ich pracy Chcemy ich uhonorować; to ważne, aby małymi gestami robić wielkie rzeczy.

Fundatorem sztandaru dla ustrzyckiego koła może być każdy - osoby prywatne, firmy i instytucje. Wszystkie wpłaty honorowane będą też wpisem do Księgi Fundatorów. - Za pośrednictwem Gazety Bieszczadzkiej pragniemy zwrócić się do każdego, kto zechce zostać naszym fundatorem - informuje Maksymiec. - Mamy nadzieję, że 7 grudnia, w dniu patrona pszczelarzy świętego Ambrożego, będziemy mogli go uroczystie nadać i poświęcić.

Pieniądze można wpłacić do 30 września 2020 r. na konto: 32 8621 0007 2001 0012 3347 0034, z dopiskiem: „Sztandar dla Koła Pszczelarzy w Ustrzykach Dolnych”.

paba

Wyjaśnienie

Oznajmiam, że rozmawiałem z Panią Pauliną Bajdą na temat Galerii nad Berhami telefonicznie i wyraziłem swoje zdanie na ten temat, co zostało ujęte w artykule GB z 29.05.2020 r. Nie zgadzam się ze stwierdzeniem przedstawionym w artykule, że jako przewodniczący wypowiedziałem się w imieniu całej Rady Gminy Lutowska. Nadmieniam, że jest to tylko i wyłącznie moje prywatne zdanie w tej sprawie.

Marek Ostrowski

POCZTA GB

POCZTA GB

POCZTA GB

Jeszcze w sprawie schroniska na Wetlińskiej

W tej sprawie wypowiadał się szerzej po raz trzeci od marca bieżącego roku, a zmobilizowały mnie do tego oświadczenia Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Wydaje mi się niekiedy, że w sprawach bieszczadzkich lepiej milczeć i się nie wypowiadać, bo i tak nikt człowieka nie posłucha. Ale milczeć niekiedy nie warto, bo potem takie sprawy przez lata męczą i zawsze są w głowie. Znowu od kilkunastu dni obserwuję, co się dzieje na Poloninie Wetlińskiej, w związku z tym niby remontem Chatki Puchatka, a tak de facto z budową od nowa.

Nie wiem, w jaki sposób stosuje się tam prawo i zatwierdzone procedury budowlane, ale miał być transport lotniczy materiałów potrzebnych do budowy, a robi się drogę ok. 4-metrową, poszerzając starą gruntową drogę końską o ponad metr i to w okresie ochronnym dla przyrody.

Tak nie tylko nawiasem mówiąc, cały dotychczasowy wieloletni ruch turystyczny nie poczynił takich szkód w przyrodzie jak obecna tzw. droga techniczna, wykorzystywana do budowy na Poloninie. Portal Bieszczady na Facebooku apeluje o ochronę plażów; można się tylko zastanawiać, ile ich zostanie rozjechanych przez auta dowożące materiały na Poloninę.

Tablicę informacyjną o budowie posadowiono przy samej rozbiórce (a projekt mówi o rozbiórce, modernizacji i nadbudowie), czyli tam, gdzie

nikt postronny nie może tej informacji przeczytać. Jest tam też tablica informująca o budowie stacji bioróżnorodności przyrodniczej i ochronnej dla Poloniny poprzez skanalizowanie ruchu turystycznego, i że budowana jest ze środków Unii Europejskiej. Nic nie ma o schronisku, jak o tym mówią informacje zamieszczone na portalu Bieszczadzkiego Parku Narodowego. To się jakoś w fachowej literaturze nazywa.

Następna sprawa - z dokumentów, które kiedyś były dostępne na stronach BpPN można było wyczytać, że rozbiórka schroniska została w szczegółach opisana przez projektanta w zezwoleniu na budowę i miałem nadzieję, że materiały z tego zgromadzone będą np. użyte do rekonstrukcji Chatki w innym miejscu. Wszystko wskazuje na to, że Chatka była w bardzo dobrym stanie technicznym i że pozyskany materiał mógł być wykorzystany do jej nowego usytuowania w parku jako obiekt np. muzealny. Ale takie sprawy chyba nikomu nie przyszły do głowy ani nikt tym nie jest zainteresowany, a to wielka strata dla pamięci historycznej tego regionu.

Jednym słowem „że się dzieje w państwie duńskim”, fakty te oddają stan zarządzania parkiem, nie wiem co w takiej sytuacji się liczy i gdzie jest prawo. Tym bardziej, że park i nawet osoby prowadzące strony bieszczadzkie na portalach społecznościowych mówią, że nie wolno dyskutować z władzą, bo władza wie lepiej. To oddaje fatalizm

owych zdarzeń a władze samorządowe i społeczeństwo milczą, bo chcą zachować głowy, nie myśląc o tym że tracą twarz.

Szkoda, że lokalna społeczność nie widzi szerzej problemów związanych z funkcjonowaniem turystycznym regionu, nie reagując chociażby na budowanie schodów do nieba na szlakach turystycznych (problem kaskadowania wody można rozwiązywać w różny sposób), zalewanie różnych miejsc obsługi ruchu turystycznego asfaldem, rugowanie miejscowych artystów i rzemiosła na rzecz plastikowej chińszczyzny. Turyści przyjeżdżają w Bieszczady dzięki miłowi „dzikich Bieszczad” i szukają tej magii, która towarzyszyła Chatce i Bieszczadom oraz dzikiej przyrodzie; z której kpią nawet ludzie związani z obsługą ruchu turystycznego.

Legendy tworzą ludzie i powstają latami. To, co już straciłimy, nigdy nie wróci, co jest i będzie wielką szkodą dla całego regionu. Bo turystyka to nie tylko spanie i jedzenie, a większość tylko tym aktualnie się zajmuje. Niestety, ludzie szukający noclegów w Bieszczadach piszą o spokojnym domku pod dziewczym lasem, a nie pod lasem gospodarczym lub nad wodą, oraz szukają tej magii, o której w dawnych latach ludzie pisali, a która z kolejnymi latami po prostu umiera.

Podsumowując: turystyka w Bieszczadach rozwijała się dzięki unikalnej przyrodzie, nietuzinkowym ludziom oraz legendom z nimi związanym.

Tadeusz Kapłon-Rybski

Nowy kustosz w „Zielonym Domku”

Od maja tego roku „Zielony Domek” w Ustrzykach Górnych ma nowego kustosza. Został nim Adam Kucharski z Warszawy, reprezentujący Stołeczny Oddział Wojskowy im. Generała Mariusza Zaruskiego.

Pod koniec maja Kucharski spotkał się z lokalnymi władzami samorządowymi oraz przedstawicielami organizacji społeczno-turystycznych. - Mając na uwadze, że jestem na tym miejscu nową osobą, doszedłem do wniosku, że wypadałoby się zaprezentować i zapoznać z gospodarzami terenu. Stąd też moja wizyta u wójta gminy Lutowiska. Odwiedziłem także komendantów placówek Straży Granicznej w

pomocne w naszej działalności i służyć będą promocji regionu – mówi kustosz Adam Kucharski.

Idea ośrodków

Zielony Domek to jeden z kilku działających w Polsce pod patronatem ZG PTTK ośrodków muzealnych. Od 2019 r. nosi nazwę Bieszczadzki Ośrodek Historii Turystyki Górskiej „Zielony Domek” i jest podporządkowany Centralnemu Ośrodkowi Turystyki Górskiej w Krakowie. Twórcą ośrodków był Edward Moskała. To on w 1966 roku sformułował i wprowadził w życie ideę zorganizowania ośrodków muzealnych w polskich górach. Jak napisał w książce gości ośrodka pienińskiego: „Ośrodki Kultury Turystyki Górskiej PTTK mają



Fot. Jacek T. Nowicki

Początki „Zielonego Domku”

Początki ustrzyckiej placówki sięgają lat 90. ubiegłego wieku. Sam budynek jest pozostałością po strażnicy WOP, która w Ustrzykach Górnych funkcjonowała do 1956 roku, kiedy to uległa likwidacji. Zabudowania zostały przejęte przez PTTK, które urządziło w nich pierwsze schronisko turystyczne. Starsze pokolenie turystów pamięta tę placówkę, działającą w prymitywnych warunkach, ale mającą w sobie ducha prawdziwego schroniska górskiego. Czar, którego dzisiaj z trudem by szukać.

Mimo prowadzonych wielokrotnie remontów obiekt z biegiem lat uległ dekapitalizacji i w połowie lat 80. podjęto decyzję o jego rozbiórce. W tym miejscu stoi obecnie Hotel Górski PTTK. Rozbiórki uniknął jedynie niewielki budynek, będący kwaterą dowódcy strażnicy WOP. W 1985 r. członkowie Komisji Turystyki Górskiej ZG PTTK rozpoczęli mozolny remont budynku, który w 1991 r. doprowadził do otwarcia placówki. Od tego czasu działa ona nieprzerwanie, a opiekę nad nią przejął Wielkopolski Klub Przewodników Turystyki Górskiej PTTK.

Od Moskały po Kucharskiego

Pierwszym kustoszem muzeum, do śmierci w 1995 r., był jego twórca Edward Moskała.

W kolejnych latach dyżurowali tu między innymi członkowie PTTK z Sanoka – nieżyjący już Ignacy Zatwarnicki i Stefan Stefański. Wieloletnim kustoszem w latach 2004-2016 był Wojciech Stankiewicz, zmarły pod koniec maja tego roku, po którym pałeczkę przejął Jacek Gołębiowski, członek Podkomisji Klubów Górskich KTG ZG PTTK, Honorowy Przewodnik Turystyki Górskiej. Po jego niespodziewanej śmierci, w grudniu ubiegłego roku, na kolejnego kustosza został mianowany Adam Kucharski, Przewodnik Honorowy TG. Od lat funkcję zastępcy kustosza piastuje Wojciech Gelo z Ustrzyk Dolnych, wieloletni członek Komisji Turystyki Górskiej.

Co można obejrzeć?

Na trzydziestometrowej powierzchni ekspozycyjnej, w dwóch salkach, zgromadzone dokumenty i eksponaty dotyczące historii turystyki. Salę zwaną „izbą wschodnią” poświęcono historii turystyki w Karpatach Wschodnich do II wojny światowej. Jej założeniem jest przedstawienie osiągnięć polskich organizacji turystycznych na Kresach Wschodnich w zagospodarowaniu obszarów górskich, ukazanie różnorodności działania i zainteresowania ich członków, a także wspaniałej przyrody Karpat. W drugiej izbie prezentowane są dokumenty i eksponaty związane z historią turystyki w Polsce po II wojnie światowej. W ośrodku mieści się również punkt weryfikacyjny GOT.

Ośrodek czynny jest w lipcu i sierpniu. W pozostałe miesiące muzeum można zwiedzać po uprzednim uzgodnieniu z obsługą obiektu. Kontakt przez stronę: www.muzeum.ustrzyki-gorne.pttk.pl

ADAM LEŃ



Fot. Jacek T. Nowicki

Ustrzykach Górnych i Stuposianach. Od dyrektora Bieszczadzkiego Parku Narodowego uzyskałem zapewnienie przekazania materiałów promocyjnych i edukacyjnych, które będziemy kolportowali wśród odwiedzających nasze muzeum. Podobnie Bieszczadzkie Centrum Turystyki i Promocji w Ustrzykach Dolnych obiecało swoje materiały. Będą one na pewno

nie tylko zachować odszukane i zdobyte pamiątki, ale spełniać mają rolę wychowawczą. Muszą uzyć historii naszej turystyki, rozbudzać miłość i poszanowanie dla gór i ludzi gór. Muszą pełnić rolę drogowskazu idei ruchu turystycznego w górach. Muszą stanowić skarbnicę wiedzy o górach i ich dziejach. Taka jest rola ośrodków KTG i dlatego są one w naszych Karpatach tworzone”.

„Kocham Cię mamo” - to słowa najczęściej powtarzane przez młodych raperów z Ustrzyk Dolnych, którzy wzięli udział w konkursie #ustrzycki16challenge - „Rapowanie o mamie”. Najlepszą raperką okazała się jedenastoletnia Emilka Dacko.

W zabawie wzięło udział 11 raperów - głównie nastolatki, chociaż najmłodsza uczestniczka miała tylko 5 lat. - Poziom był bardzo wysoki, trzeba było napisać szesnastowersowy tekst, znaleźć odpowiedni bit oraz nagrać teledysk, który należało opublikować na Facebooku. Młodzi muzycy spisali się wspaniale - mówi zasiadająca w jury Katarzyna Dudzińska, prezes Ustrzyckiego Stowarzyszenia Kultury.

Wśród młodych raperów znaleźli się: Zuzanna Wrona, Karol Kaszany, Maja Kozłowska, Nikola Drozd, Amelka Krajewska, Julia Kowalska, Martyna Jaremko, Emilia Dacko, Miłosz i Marcel Rostoccy, Zuzia Mucha i Amelia Wronowska.

- Ten konkurs pokazał, że mamy w Ustrzykach Dolnych bardzo zdolną młodzież - twierdzi Wojciech Szott, przewodniczący jury i dyrektor Ustrzyckiego Domu Kultury. - W dobie pandemii wszyscy mamy ograniczony dostęp do kultury i sztuki, dlatego szczególnie nas cieszy, że do konkursu przyłączyli się również rodzice, którzy pomagali nagrywać swoim pociechom teledyski.

Komisja obradowała w składzie: Bartosz Romowicz - burmistrz Ustrzyk Dolnych, Wojciech Szott - dyrektor Ustrzyckiego Domu Kultury, Piotr Cyroń - PCC Film Studio, produkcja filmowa, Kamil Pomykała - raper PeRJoT Katarzyna Dudzińska - prezes Ustrzyckiego Stowarzyszenia Kultury, Magdalena Kuzar - inspektor ds.

Grand Prix dla Emilki!



Emilia Dacko - zwyciężczyni ustrzyckiego konkursu - na ekranie oraz w otoczeniu władz miasta i dyrektora UDK. Fot. Andrzej Górski

promocji i PR w Urzędzie Miejskim, fotograf.

Grand Prix przyznano jednogłośnie Emilii Dacko, która w nagrodę otrzymała tablet. Kolejne miejsca na podium zajęli: pierwsze miejsce - Miłosz i Marcel Rostoccy, drugie - Zuzia Mucha, trzecie - Amelia Wronowska.

Wszyscy uczestnicy dostali głośniki i słuchawki, a zwycięzcy - obok nagród głównych

- karnety na ustrzycki basen. Dodatkowo Piotr Cyroń z PCC Film Studio stworzył profesjonalne videoclipy do rapu Emilki oraz braci Rostockich.

Wszystkim uczestnikom z serca ratujemy!! Zwycięski rap można posłuchać na www.bieszczadzka24.pl

(Galeria na www.bieszczadzka24.pl)

paba

Wiesława Kwinto - Koczan (WUKA)

Buku bieszczadzki

*Buku bieszczadzki,
bracie serdeczny,
moja wiatra
z twego trwania,
radość z czerwienu
jesienniej,
spokój z dotyku
srebrzystej kory.*

*Opieram się o twoje
wieczne istnienie,
jak o ścianę
rodzinnego gniazda.
O zmierzchu i poranku,
śpiewamy razem
bieszczadzką balladę.*

Piętnaście lat temu, 18 czerwca 2005 roku, zmarł Władysław Nadopta. Wśród miłośników Bieszczadów został zapamiętany jako Majster Bieda.

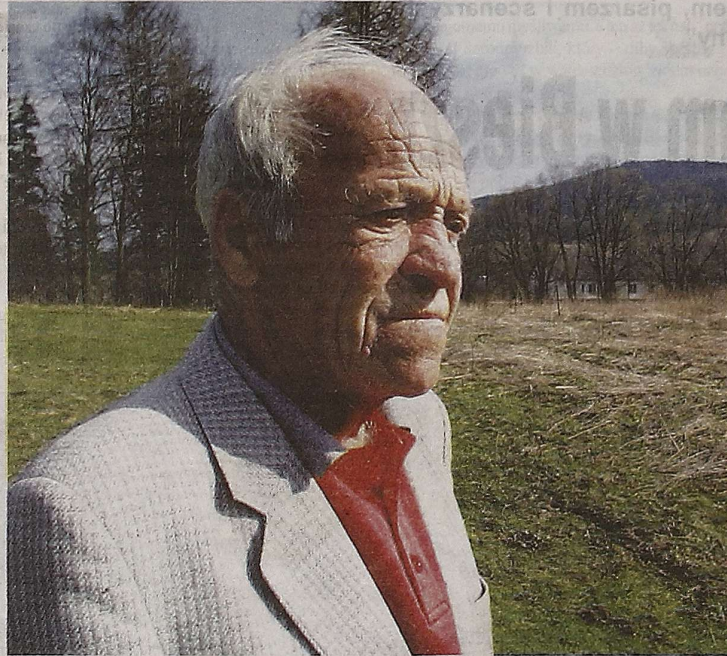
To pierwszy od ponad dwóch miesięcy spacer. Krótki, niepozabawiony lęku, lecz w sumie przyjemny, dający nadzieję, że płuca i nogi z wolną wrócą do sprawności. Na ośnieżonej ścieżce stawia kroki ostrożnie, nerwowo poprawia czapkę na głowie, co chwilę przystaje i zapuszcza wzrok na otulone białą koldrą pobliskie lasy i wzgórza.

Potem, już w ciepłym dwuosobowym pokoju, po raz pierwszy od dłuższego czasu lekko się uśmiecha. Siedzi na zasłanym kraciastym kocem łóżka i zagaduje, że ten pobyt tutaj to tylko przystanek; że jeszcze dwa-trzy miesiące i wróci tam, gdzie jego prawdziwy dom, wysoko w górach, choć tak po prawdzie tego domu nie ma.

Po co być zawadą?

Kilka miesięcy wcześniej znajomi proponują mu stałą kwaterę. Nie pierwszy już raz zakotwiczyłby u kogoś w Wetlinie, Strzebowiskach czy Kalnicy. U ludzi zaufanych, doceniających jego wybory. Tyle że z wiekiem ma się inne postrzeganie rzeczywistości i samego siebie.

Dawniej nie miał oporów przed taką gościną, teraz jednak kategorycznie odmawia. Żeby tylko jednej rodzinie! Odmawia wszystkim, którzy chcą się zatroszczyć o los wiecznego tułacza. – To jest tak, że na starość nie chce się być



Na spacerze w okolicach Domu Pomocy Społecznej w Moczarach, rok 2004
Fot. Krzysztof Potaczała

Nikt nie pytał, skąd się wziął

dla nikogo zawadą – powtarza tę wyświechtaną prawdę. – Kiedy jesteś zdrowy, wszystko układa się dobrze, ale nie daj Boże, gdy zachorujesz. Po co ja, 82-letni dziadek, mam być dla kogoś problemem?

Mówią mi: Jesteś nasz, bliski, najbliższy. Jak brat. A on swoje: – Nie. I jakby sobie ten sprzeciw wykrakał, bo wkrótce zamiast u przyjaciół „ładuje” w szpitalu. – Zmogła mnie astma, przyplątało się zapalenie płuc. To pewnie przez papierosy, za dużo ich w życiu wypaliłem...

Włóczęga z konieczności

Kresowa dusza – wrażliwa, trochę niepokodzona. Dziecinasto i wczesna młodość we Lwowie to niezatarty obraz w pamięci. Kocha to miasto, jego rynszoki i zaułki, ale gdy traci rodziców, w oczy rychło zagląda głód. Trzynastoletni, nieopierzony, z torbą przewieszoną przez ramię, wyrusza na wędrowkę za chlebem. Ma jeszcze gitarę, potrafi na niej grać, zna garść piosenek. We Lwowie podobnych jemu „bardów” jest bez liku, nietawo konkurować, lepiej więc poszukać nowych miejsc, w obcych miastach, choćby w nieodległym Przemysłu. Nadszański gród nie odrzuca sieroty, pozwala mu przetrwać, a nawet zyskać sympatię przechodniów. – Dobrze mi tam było, ale po jakimś czasie ruszyłem dalej. Zatrzymywałem się na krótko w paru miastach, trafiłem nawet nad morze, a potem obrałem kierunek na południe. I tym sposobem zjeżdżałem kawał Polski. Na śpiwaniu się nie dorobiłem, miałem jednak na tyle grosza, żeby móc wrócić do rodzinnego gniazda.

Jeszcze nie zdążył się nim nacieszyć, gdy wybuchła wojna. Dwa lata później, kiedy Niemcy napadają na ZSRR, niemal od razu trafia do transportu. Jedzie do Rzeszy na roboty. Jest niedożywiony, nie wie, czy przetrwa. Pracuje na roli u bauera, sadi drzewa, kopie rowy. Robi wszystko, co każe. I wykorzystuje nieliczne okazje, by cokolwiek zjeść ponad skromny przydział. Choćby na wół zgnilego kartofla, za co może dostać kule.

Ale on ma żyć. W 1946 podaje do Polski, tyle że Lwowa już w Polsce nie ma. Los rzuca go na chwilę do Łodzi, następnie na Śląsk. Zabiera się w kopalnię, chlapy się nawet śmieją, że taki mikry, a chce mu się machać kilofem na przodku. – Weale mi się nie chciało, po prostu musiałem na siebie zarobić. Ale któregoś dnia poczułem, że dłużej nie wytrzymam. Tęskniłem za wschodem, za innym powietrzem.

Pekaesem jedzie do Przemysła, tu już inaczej się oddycha. Potem dociera w Bieszczady, bo wyczytuje w prasie, że lasy i ziemia czekają na ludzi. Wciąż ich w tych górach mało, a roboty huk. Bez wyjątku dla każdego. Na Śląsk wraca już tylko po to, by jeszcze raz się upewnić, że nie jest mu pisany. Tydzień później znowu tużec się autobusem na „koniec świata”.

Niepozorny wielki człowiek

W letni, słoneczny dzień siedzi na rowie pod Berehami i zajada chleb ze słoniną. Obok zatrzymuje się piechur. Podaje rękę na przywitanie, przedstawia się, przysiadła. Kiedy kończą jeść, ruszają do Wetliny. – Ludwik Pińczuk był sporo młodszy, ale od razu go polubiłem. Dobrze patrzyło mu z oczu. Podobnie jak on zająłem się na początek zbieractwem runa, a potem już jakoś poszło.

Las pozwala żyć, hojnie darzy, lecz także wymaga. Byle łajza sobie nie poradzi. Żeby móc się z lasu utrzymać, trzeba końskiego zdrowia. Chociażby przy takiej harówce, jak wyrąb drzew, albo przy załadunku metrówek na wagony. Kolosem Nadopta nie jest, ale w pracy od innych nie odstaje. Zalicza dwadzieścia lat na wyrębie i dziesięć przy wagonach. Inaczej ma się sprawa z zbieraniem jagód – tu oprócz kondycji fizycznej ważny jest również spryt. A jeszcze coś innego, mianowicie intuicja, przydaje się podczas poszukiwania jelenich poroży. W tej dziedzinie staje się niekwestionowanym królem. Tylko on potrafi przez tydzień nie wychodzić z lasu, spać na mchu, w skleponach z gałęzi szłasasach albo w paśnikach. Lecz kiedy już z tego boru wychodzi, wędruje obudzony zrzutami, na których widok zapalają się oczy najbardziej wybrednym koneserom.

Inni zarobek przepijają, on jakoś nie umie. Ale – przyznaje – nie umie też odkładać. Pieniądze idą na utrzymanie, na pożyczki na wieczne oddanie, z rzadka jakiś ciuch. – Wiele w górach nie potrzebowałem, więc nie przywiązywałem do forsy wielkiej wagi. Dopiero z czasem, gdzieś po siedemdziesiątce, no ale wtedy już nie miałem tyłu sił do pracy... Gdyby był pilniejszy, to pewnie uzbierałby na własny pensjonat, a tak nie dorobiłem się niczego. Oprócz 460 złotych renty.

Tymczasem kwateruje w hotelach robotniczych, w większych chałupach uczynianych przez tuziemców, w schroniskach. Tych

pierwszych stara się unikać. Zawsze go tam namawiają do chłania gorzały, ciągle tylko pij i pij, a on nie ma ani pojemnego gardła, ani moenej głowy. – Pewnie, że wódka dla ludzi, można uciąść, wypić, zakąsić ogórkiem, ale żeby spaść pod stół, zarzygać się, na to się nie pisalem. Zresztą od młodości nie przepadałem nawet za piwem, choć dużo się go nasprzedawałem.

Handluje kuflowym w słynnej beczce pod barem Pulpit w Ustrzykach Górnych. Bywalcy pamiętają, że trzyma porządek i ma w sobie coś takiego, że zwykle nie wszczynają się przy nim awantur. Może z szacunku do niego i rosnącej z latami sławy, może nie, ale coś w tym musi być, bo nawet zadziorni zwykle górale odpuszczają sobie, gdy on z uśmiechem nalewa duże z pianką do grubego szkła.

Naznaczony piosenką

Niezajomy ma siedemnaście lat, długie czarne włosy i poetycką wrażliwość. „Błądził” po Przełęczy Wyżnej, gdzie za grosz do kapelusza przygrywa na gitarze dla wędrowców. Czy stojący z boku dostrzeże w młodzieńcu samego siebie sprzed lat? Może tak być, taka niby nie swoja, a znajoma retrospekcja. Akceptują się bez słów, a ich ścieżki przez kolejne lata krzyżują się w górach. – Wojtek Bellon odwiedzał Bieszczady rokrocznie – opowiada. – Szybko zaczął w nie wrastać, do tego stopnia, że planował zostać na stałe. Zapiisał się nawet do GÖPR-u, został kandydatem na ratownika. No i cały czas komponował, ślezczał nocami przy świeczce, układał nuty i słowa.

Kiedys młody bard pisze utwór także dla Władka, towarzysza wielogodzinnych dysput, choć ten długo nie ma o tym pojęcia. Aż do dnia, kiedy słyszy w radiu dedykację. Ta piosenka jest dla niego, o nim, w dowód sympatii. Strofy go urzekają, lecz także naznaczają na resztę życia. Ale nie obraża się, gdy ktoś nazwa go Majstrem Biedą. W gruncie rzeczy to nobilitacja, niedostępny wielu innym wyróżnik. Zbieracz runa i poroży, drwal, przewodnik. I ratownik. Ileż to razy pomaga goprowcom szukać zaginionych piechurów albo i sam spieszy na pomoc potrzebującym? Nigdy nie zostaje oficjalnym członkiem GÖPR, bo jakoś o tym nie myśli. Ratownicy z niebieskim krzyżem jednak nie zapominają jego zaangażowania i honorują go medalem zasług dla ratownictwa górskiego. Kiedy wręczają mu to zaszczytne

odznaczenie, ze wzruszenia płacze. A potem, już na luzie, z uśmiechem poje do zdjęć, siedząc za kierownicą goprowskiego dżipa.

Gdy całkiem sięwieje i trochę się kureczy, osiada w chałupce obok schroniska pod Małą Rawką. Buduje ją sobie z desek prawie własnoręcznie, wstawia kanapę, stół, dwa krzesła. Znajomy wymuruje piec – taki, który może ogrzać w jesienno-zimowe chłody i posłużyć do suszenia grzybów. Bo kiedy już sił w nogach nie starcza na długie wypady na jagodziska, przerzuca się na rydze, prawdziwki, maślaki. Ma je pod nosem, w promieniu krótkiego spaceru. Smaży, suszy, marynuje i na pniu sprzedaje turystom. – Miałem z tego radość, wciąż nie chodziło o pieniądze, ale o sens codzienności, że człowiek robi coś pożytecznego.

Do zobaczenia, gdzieś tam

Leży w białej, pustej sali. Od kilku dni nie je, nie pije. Utrzymywany przy życiu kroplówką. Napadowe ataki kaszlu o mało nie wyrwą mu chorych płuc, dusi się, pielęgniarki podają tlen. Ale to jeszcze nie jego pora. Po ośmiu tygodniach wstaje z łóżka, wreszcie ogląda świat z pozycji pionowej. Znowu jedzie w górę, lecz tylko po rzeczy. Mieszczą się w jednej torbie. Dom pomocy społecznej przyjmuje kolejnego pensjonariusza z plejady bieszczadzkich niepokojnych duchów. Słaby, trochę bezradny, więc nawet zanadto się nie wzbrania. Albo to źle w takim przybytku? Czysto, ciepło, w pokoju telewizor. A na obiad nie chleb ze smalcem, jak często bywało, lecz rosół i kurczak.

Jeszcze nie żegna polonin. Gdy topnieją śniegi, uśmiech coraz częściej pelza po jego pooranej brudami twarzy. Dużo spaceruje, szykuje kondycję, jest bardziej rozmowny niż zwykle. Przyjmuje kilkoro znajomych, snują plany na przyszłość. Będzie dobrze, Władziu, będzie dobrze, powtarzają. – A pewnie, znowu pójdę na grzyby, posmakuję borówek, położę się na rozgrzanej ziemi – cieszy się jak dziecko.

W czerwcu 83-letnie serce przestaje tłoczyć krew.

KRYSZTOF POTACZAŁA

Majster Bieda

*Skąd przychodził, kto go znał
Kto mu rękę podał kiedy
Nad rowem siadał, wymiował chleb
Serem przekładał i dzielił się z psem
Tyle wszystkiego, co z sobą miał*

Majster Bieda

*Czapkę z głowy ściągaj, gdy wiatr gałęzi
Chylił drzewom
Śmiał się do słońca i śpiewał do gwiazd
Droge bez końca, co przed nim szła
Znał jak pięć palców, jak szeląg zły*

Majster Bieda

*Nikt nie pytał, skąd się wziął, gdy do ognia
się przysiadł
Wtulał się w krag ciepła jak w kożuch
Zmżony drogą wędrowiec boży
Zasypiał długo, gapiąc się w noc*

Majster Bieda

*Aż nastąpił taki rok, smutny rok, tak widać
trzeba
Nie przyszedł Bieda zieloną wiosną
Miejsce, gdzie siadał, zielskiem zarosło
I choć niejedną wyteżał wzrok
Choć lato pustym gościńcem przeszło
Z rudymi liśćmi, jesieni schedą
Wiatrem niesiony popłynął w przeszłość*

Majster Bieda

Tekst napisany przez Wojciecha Bellona, wykonywany przez Wolną Grupę Bukowina

Rozmowa z Kazimierzem Orłósem, pisarzem i scenarzystą, autorem słynnej „Cudownej meliny”

Ciągle wracam w Bieszczady

- W 1963 roku przybył pan do Soliny, gdzie od ponad roku wznoszono zapórę wodną. Co skłoniło młodego prawnika z aspiracjami literackimi, by podjąć pracę w takim miejscu?

- Przyjechałem w Bieszczady już po pierwszej wydanej książce – zbiorze opowiadań „Między brzegami”. Pracę prawnika starałem się łączyć z poznawaniem życia w różnych miejscach i środowiskach poza Warszawą. Po przednio pracowałem w Turoszowie, na innej wielkiej budowie. Już wiedziałem, że jeśli będę pisał, to tylko o ludziach, których poznam i o miejscach, jakie zobaczę. Realizm w prozie, prawda o życiu jako jedynie ciekawa – to również powody kilkuletniego pobytu na budowie zapory na Sanie. Zamieszkałem w hotelu „Energetyk” w Myczkowcach i codziennie dojeżdżałem autobusem do Soliny.

- Zakotwiczył pan w Biurze Prawnym. Czym się pan zajmował?

- Sprawami związanymi z przesiedleniami z terenów przyszłego Zalewu Solińskiego. Poznałem okoliczne wioski i ich mieszkańców, prowadziłem liczne rozmowy. Wszystko to było dla mnie niezwykle ciekawe. W późniejszych latach Solinę, Bieszczady i różne osoby, z którymi miałem kontakt, opisałem w swoich opowiadaniach i powieściach.

- Do pracy przy wznoszeniu „betonowego kolosa” ciągnęli ludzie z całej Polski. Po godzinny zarobek, czy bardziej pragnienie uczestniczenia w wyjątkowym zadaniu?

- Myślę, że przede wszystkim z uwagi na dobre warunki pracy i płacy. Budowa była „priorytetowa”, mieliśmy w związku z tym dwudziestoprocentowy dodatek do pensji, duże premie kwartalne. Do tego mieszkania służbowe, własny ośrodek medyczny, samochody do dyspozycji. O takich warunkach wówczas, po skończeniu studiów, nie mógłbym marzyć w Warszawie, na nędżnych pensjach aplikantów sądowych lub prokuratorów. W Solinie zresztą uzyskałem trochę później uprawnień radcy prawnego. Co dwa tygodnie jeździłem do Rzeszowa na zajęcia w komisji arbitrażowej. W Solinie lepiej mieli oczywiście inżynierowie i urzędnicy. Robotnicy mieszkali w gorszych warunkach, na przykład w barakach w Uhercach, i zarabiali mniej od pracowników umysłowych. Nas zimą dowożono do pracy ogrzewanymi autobusami, oni jeździli na ciężarówkach pod plandekami. Pamiętam, że waciaki siedzących najbliższej kłapy, na skrzyniach, były oblepione śniegiem. Społeczny podział i brak sprawiedliwości rzucały się w oczy. Z drugiej strony media cały czas głośniły, że żyjemy w państwie robotników i chłopów.

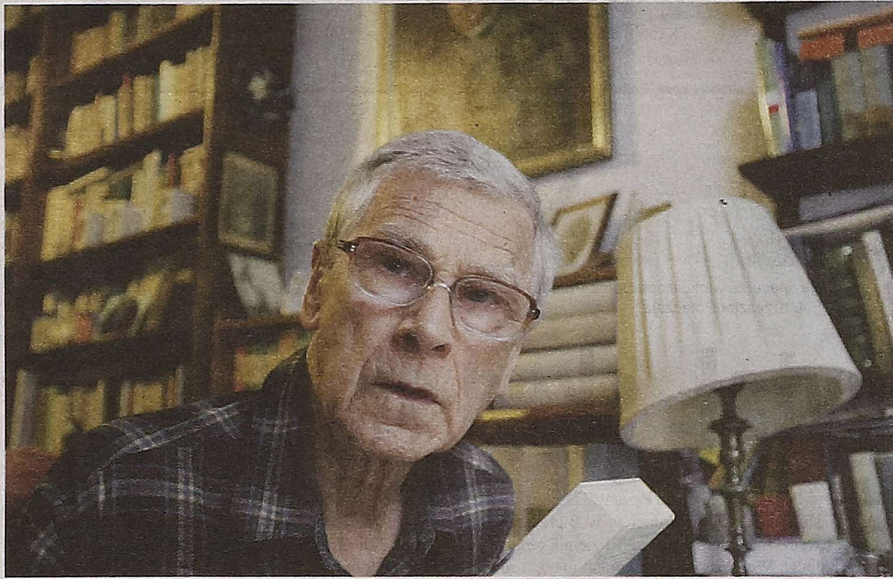
- Na wszystkich wielkich budowach Polski Ludowej istniały prężne komórki propagandowe. Jak to wyglądało w Solinie?

- Na podstawie dźwigu linowego – lin rozciągniętych nad masystem zapory – widniało propagandowe hasło i malunek robotnika za kołem sterowym. Napis głosił, że budowa jest wznoszona pod przewodem partii. Ale na to ani ja, ani inni nie zwracaliśmy uwagi. Słyszałem o jednym zebraniu załogi „Hydrobudowy”, na którym podniesiono temat ówczesnej wojny w Wietnamie. Był rok 1965. Jeden z nawiedzonych działaczy

partijnych jakiegoś mniejszego przedsiębiorstwa-podwykonawcy, wniósł projekt, aby oddawać krew dla ofiar wojny. Oczywiście po stronie komunistycznej. Zastrzegł przy tym, że on sam nie może oddać, bo chorował na żółtaczkę. Pamiętam, że opowiadano o tym wydarzeniu ze śmiechem.

ności opuszczenia rodzinnych wsi?

- Biuro Prawne było bezustannie odwiedzane przez interesantów – chłopów z wiosek położonych na terenach przyszłego Zalewu Solińskiego. Do niektórych jeździliśmy, wyjaśniając konieczność przeprowadzki. Wszystkim



Kazimierz Orłós w swoim mieszkaniu w Warszawie

Fot. Tomasz Wierzejski/Fotonova

- W weekendy wyruszał pan na piesze wycieczki w teren. Z nudów czy z ciekawości?

- Zdecydowanie z ciekawości. Chciałem poznać bliżej okolice przyszłego jeziora, ale nie tylko. W pierwszych tygodniach, jeszcze przed sprowadzeniem żony i syna, chodziłem sam, najczęściej w sobotnie popołudnia, nocując gdzieś w przypadkowych miejscach. Kiedyś zawedrowałem doliną Sanu do Sokolego, gdzie ze zdziwieniem odkryłem stary pałac, ze śladami podpałen i dewastacji. Pamiętam swój pierwszy nocleg w Sokolem, w prowadzonym przez Henryka Victoriniego schronisku PTTK. Pałacyk wydawał się opuszczony, warunki były prymitywne, ale mogłem przespacerować w dużej sali, na łóżku z siennikiem, pod wilgotnym kocem. Dostałem też herbatę w fajansowym kubku. Taki był początek naszej wioletoleżnej przyjaźni z Henrykiem. Chodziłem też do Rajskiego, a czasem dalej – w stronę Tworylnego i Hulskiego. Spałem na brogach z siano. Zostało mi w pamięci kilka nocy pod gwiazdami i pokiwanie sowy.

- W Solinie pracowała również pana żona.

- Teresa dostała etat w Dziale Technicznym Dyrekcji Budowy. Pracowałaś, co trzeba wyjaśnić, „u inwestora”. Wykonawcą była „Hydrobudowa 10”, przedsiębiorstwo z Warszawy. My, jako „Elektrownia Solina w budowie”, podlegałyśmy Zakładowi Energetycznemu w Radomiu, które oficjalnie były inwestorem. Dzięki temu, że oboje pobieraliśmy stałe pensje, mogliśmy odkładać na mieszkanie spółdzielcze w Warszawie. Do trzyletniego syna Maćka (późniejszego aktora i znanego dziennikarza – przyp. KP) i do prowadzenia domu w Solinie mieliśmy Marysię, młodą dziewczynę spod Krynicy.

- Spotykał się pan na co dzień z tubylcami. Jak odnosili się do koniecz-

proponowaliśmy gospodarstwa zamienne lub odszkodowania pieniężne. Na ogół podpisywali umowy, rozumiejąc, że innej możliwości nie ma. W większości korzystali na przesiedleniach. Dostawali lepsze, murowane domy w miejscowościach, które mogli wybrać, i odpowiedni areal do posiadanej ziemi. Umowy dotyczące odszkodowań finansowych podpisaliśmy w biurach notarialnych w Lesku lub Ustrzykach Dolnych.

- Podobno zdarzało się gospodarze nadzwyczaj oporni. Do końca siedzieli na swoich i nie chcieli opuścić posesji.

- Przypominam sobie zaledwie dwa przypadki, kiedy trzeba było przeprowadzić wywłaszczenia przymusowe na podstawie decyzji administracyjnych. Jeden to historia starego rolnika z Soliny, który domagał się wyższego odszkodowania niż wycenili biegli. Nie było to możliwe, ponieważ miał starą, drewnianą chatę i niedużo ziemi. Nie chciał przyjąć gospodarstwa zamiennego, mimo wielu rozmów i tłumaczeń. Doszło w końcu do eksmisji i wypłaty niewielkiego odszkodowania. To jedna z przykrych spraw, tego człowieka na pewno skrzywdziłyśmy. Niestety, budowa nie mogła czekać, jego dom musiał być rozebrany przed zbliżającym się piętrzeniem wody. W drugim przypadku nie mogliśmy porozumieć się z właścicielem małego gospodarstwa na kraju wsi. Na dodatek była to kobieta żyjąca jakby poza społecznością wiejską. Miała sforę psów, których ludzie bali się i z którymi również trzeba było coś zrobić. Przewiezienie w inne miejsce było w ówczesnych warunkach niemożliwe. Skończyło się na eksmisji kobiety do gospodarstwa zastępczego. Wyneźdźniałe i wyglodniałe psy trzeba było uśpić.

- W tamtych czasach prowadził pan dziennik. Zapisywał w nim rozmaite sceny, urywki rozmów, ale też przemyślenia na temat Bieszczadów. Czy

ów notatnik stał się po czasie źródłem inspiracji dla twórczości pisarskiej?

- Wiele rozmów, zdarzeń, o których słyszałem, opowieści zanotowanych w „dzienniku” (jakkolwiek były to raczej luźne notatki) wykorzystałem później, pisząc opowiadania i pierwszą powieść – „Cudowną melinę”. Ludzie, którzy przychodzili do Biura Prawnego opowiadali mnóstwo historii z czasów wojny i walk z UPA. Byli to głównie mieszkańcy wsi uznanych w 1947 roku za katolickie i polskie; taką wsią była Solina. Rusinów wyznania grekokatolickiego wysiedlono, jak wiadomo, w ramach akcji „Wisła”, popełniając przy

wyobrażam sobie, że będę mógł napisać krytyczną powieść o sytuacji w małym mieście bieszczadzkiem, rządzonej przez klikę ludzi nieuczciwych. Znając z autopsji stosunki tam panujące będę pisał, demaskując nieuczciwość, korupcję i nepotyzm miejscowych kacyków. Jako prawnik, przedstawiciel budowy, zalałbym mnóstwo spraw w urzędach miejskich i biurach notarialnych w Lesku, Ustrzykach i Sanoku. Sąd, z kontaktów z mieszkańcami i opowiadań, mogłem przewidzieć to wszystko przedstawić. Ukazałem między innymi autentyczną „afery czosnkową” z Sanoka, o której z końcem lat sześćdziesiątych było głośno. Dziś jest trudno do opowiedzenia i do uwierzenia: Miejscowi notabla, z sekretarzem Komitetu Powiatowego PZPR i komendantem MO na czele, kontraktowali w Wydziałach Rolnictwa Rady Narodowej uprawę czosnku, którego wówczas w PRL uprawiano mało. Czosnek sprowadzali z Czechosłowacji w karetkach pogotowia przez pobliską granicę. W zamian wysyłali wódkę i kiełbasy. Karetki „używały” dyrektor miejscowego szpitala, również należący do gangu. Ze sprzedaży tak pozyskanego czosnku gang czerpał ogromne dochody.

Kazimierz Orłós – ur. w 1935 r. w Warszawie, wybitny prozaik realista, scenarzysta filmowy i telewizyjny, autor słuchowisk radiowych, opowiadań i powieści. Laureat wielu nagród literackich, miłośnik Mazur i Bieszczadów.

Wpadli z chwilą, kiedy nagle zmienił się komendant lokalnego sekretarza partii, usunięcie komendanta MO, dyrektora szpitala itd. O tej głośnej aferze opowiadano długo i ze śmiechem.

- W „Cudownej melinie” szefem gangu był sekretarz powiatowy PZPR. Ten fakt okazał się nie do przyjęcia przez peerelowską cenzurę.

- Po długich i nieudanych próbach wydania książki w kraju (wspierany początkowo przez Wydawcę, czyli Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik”, z którą miałem podpisaną umowę), zdecydowałem się ją wydać w Instytucie Literackim Jerzego Giedroycia we Francji. Z tego powodu poniosłem różne przykre konsekwencje: wyrzucenie z pracy, wioletoleżny zakaz publikacji w oficjalnych wydawnictwach w kraju, zakaz wyjazdów za granicę i stała „opieka” SB. Wszystko to ujawniłem później w autobiograficznej książce, wydanej również w Instytucie Literackim, czyli w „Historii „Cudownej meliny”.

- Po latach wracał pan w Bieszczady, odwiedzał stare kąty, pływał kajakiem doliną Sanu. Czy dzisiaj prawnik na emeryturze, ale wciąż aktywny pisarz, zagląda jeszcze w ukochane góry?

- Zarówno w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, jak i po roku dziewięćdziesiątym, już w wolnej Polsce, często odwiedzałem Solinę, Lesko, Sanok i Ustrzyki. Z lat pracy w Solinie pamiętałem Bieszczady jeszcze wyludnione, właściwie bez turystów i samochodów. Pustą dużą pętlą bieszczadzką wiele razy jeździłem na swojej SHL-ce. Dziś wygląda to inaczej. Pozostał jedynie sentyment i podziw dla wspaniałej przyrody, a także dla ludzi, wśród których mam przyjaciół. Tu dodam, że nigdzie dotąd niedrukowana nowela „Powrót”, obecnie poprawiona i napisana właściwie na nowo, znajdzie się w tomie moich opowiadań, które w tym lub przyszłym roku wyda krakowskie Wydawnictwo Literackie. „Powrót” jest literackim prozopowiem po latach w Bieszczady.

- Dziękuję za rozmowę.
KRZYSZTOF POTACZAŁA

Od ponad pół wieku jest na liście zwierząt chronionych, a jednak jego populacja wciąż maleje. Dzisiaj jedyną ostoją tego gatunku są południowo-wschodnie rubieże Polski. Czy żbik w dzikiej postaci ma szansę na przetrwanie, czy grozi mu nieuchronna zagłada?

Niekiedy w mediach pojawiają się informacje na temat obserwacji żbików w ich naturalnym środowisku, ale nigdy nie ma pewności, czy dotyczą one żbików czystej krwi, czy może krzyżówek dzikich kotów z domowymi. Te zaś były i wciąż są możli-

woiec. Żbik budził grozę. Znane są stare opisy na podstawie opowiadań chłopów, wedle których ten niewielki drapieżnik posiadał czarcią moc i mógł nawet pokusić się o napaść na człowieka. Prawdy w tym nie ma na jotę, niemniej jednak myśliwi, którzy nocą spotykali się oko w oko ze żbikiem, przekonują, że można się go przestraszyć. W ciemności widać mu tylko ślepią, a zwierzę porusza się bezszelestnie – niczym duch. Żbik jest sprytny i bardzo ostrożny, więc tylko nielicznym udaje się go zobaczyć. Bardziej przez przypadek, a nie dlatego, że leśnik lub przyrodnik tak sobie założy

kota znajomemu myśliwemu, a ten aż jęknął – przed nim leżał dorodny żbik, który – niby sprytny – a jednak „dał głowę” w walce z człowiekiem uzbrojonym w ostre narzędzie.

Ciekawe wydarzenie miało miejsce na mało użytkowanej leśnej drodze w wysokich Bieszczadach. Jadący tamtędy kierowca ciężarówki zauważył leżącego na poboczu małego kociaka. Był ranny. Myśląc, że to pospolity gatunek, zabrał go do domu, żeby „dzieci miały uciechę”. Czule pielęgnowany kot rychło odzyskał siły i dopiero wtedy pokazała się jego prawdziwa natura. Otóż nie zachowywał się

pewne nawet o nim nie pomyślał, jednak to właśnie najbardziej skryty kot karpaccich lasów pokazał się na rozległej łące, nieświadomie zachęcając leśnika do zrobienia zdjęcia. – To trwało naprawdę chwilę, potem nagle zwierzątko dał susa w gęstwinę. Nazajutrz pokazałem fotografie kolegom w nadleśnictwie. Nie mieli wątpliwości – uwieczniłem na cyfrowej karcie najprawdziwszego żbika!

Niezwykłą przygodę przeżył także miłośnik przyrody Mariusz Szczechowicz. W czasie spaceru w bieszczadzkim lesie na jego drodze stanął nikt inny, jak właśnie żbik. – Było dość daleko, więc w pierwszej chwili pomyślałem, że to pewnie mały ryś. Odruchowo zacząłem robić zdjęcia „spod ręki”, nie przystawiając aparatu do oka. Kiedy jednak podniosłem sprzęt pod brodę, błyskawicznie zniknął w zaroślach. Byłem tak zaintrygowany, że poszedłem za nim po pozostawionych na resztkach śniegu śladach. Kilkadziesiąt metrów dalej zobaczyłem siedzącego wysoko na drzewie dzikiego kota. Po umieszczeniu i grubym ogonie poznałem, że natknąłem się na żbika. Pozwolił mi nawet na wykonanie paru ujęć, a potem czmychnął.

Obserwacje są emocjonujące i mają posmak wyjątkowości, jednak istnieje pilna potrzeba dokładnego zbadania gatunku *Felis silvestris*, tak jak to ma miejsce w przypadku rysia. Badania nad tym ostatnim prowadzi od lat m.in. Instytut Ochrony Przyrody PAN w Krakowie. Ta sama placówka zajmowała się także żbikiem, jednak projekt nie zakładał badań DNA, które mogłyby dać odpowiedź na pytanie, ile czystej maści żbików żyje w podkarpaccich lasach oraz na ile powszechne są mieszańce urodzone z związków z kotami domowymi. Można mieć nadzieję, że takie badania zostaną podjęte.

Mimo iż żbiki gniazdują, wychowują młode oraz odpoczywają głęboko w lesie, jak najdalej od ludzkich siedzib, to jednak w pobliżu tychże siedzib, sąsiadujących z łąkami, polanami, dolinami potoków i rzek nierzadko zaglądną w poszukiwaniu pożywienia. I zawsze w takich przypadkach istnieje możliwość krzyżowania się dzikich kotów z pospolitymi. Dotychczasowe badania żbików opierały się na zimowych tropieniach, a te są o tyle w przypadku tego gatunku niemiernie trudne, że bardzo trudno odróżnić trop żbika od tropu zwykłego kota. Mają z tym kłopoty nawet najwięksi znawcy gatunku.

Gatunek w odwrocie?

Według danych IOP PAN, liczebność żbików w Polsce nie przekracza 200 osobników. Ich występowanie ograniczone jest zaledwie do kilku nadleśnictw w Bieszczadach, Bieszczadzkiego Parku Narodowego, części Beskidu Niskiego i Pogórza Przemyskiego. A także pojedynczych stanowisk w Magurskim Parku Narodowym oraz w lasach gorlickich. Tymczasem, jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, żbik regularnie występował m.in. w Beskidzie Żywieckim i Sądeckim, w Pieninach, na Pogórzu Ciekówkim oraz w Tatrach.

Prrowadzone od lat badania wskazują, że żbik jest gatunkiem wyraźnie zmniejszającym, zarówno liczebność, jak i zasięg występowania nie tylko w Polsce, lecz również w niemalże całej Europie – pisze dr Agnieszka Olszańska z krakowskiego IOP PAN w artykule zamieszczonym w „Dzikim Życiu”. – Nie znamy przyczyn i mechanizmu tego niekorzystnego zjawiska, chociaż dzięki badaniom prowadzonym w Europie poznano szereg czynników, które mogą być odpowiedzialne za jego nasilenie się w ostatnich latach. Jak w przypadku większości populacji dzikich zwierząt, roślin czy zbiorowisk roślinnych, na stan populacji negatywny wpływ mają zmiany środowiskowe, takie jak fragmentacja kompleksów leśnych oraz istnienie dróg szybkiego ruchu przebiegających między tymi kompleksami.

KRZYSZTOF POTACZAŁA

Wąsaty duch z pierścieniami



Żbik siedzący na drzewie w bieszczadzkim lesie. Był tak zaskoczony spotkaniem z człowiekiem, że na chwilę znieruchomiał i pozwolił się sfotografować. Fot. Mariusz Szczechowicz

we, gdyż po lasach i na ich obrzeżach włoży się mnóstwo domowych kotów. Co więcej – również żbiki nie gardzą kuzynami z gospodarstw i chętnie zaglądną w pobliże ludzkich zagrod. To dlatego część naukowców jest zdania, że współcześnie żbiki pierwotnej maści już prawie nie występują.

Ale są też badacze, którzy twierdzą, że nie jest aż tak źle. W Internecie można nawet znaleźć nagrania, na których doskonale widać dzikie leśne koty, znacznie różniące się od pospolitych dachowców – większą posturą, dłuższą i gęstszą sierścią, silniejszymi i większymi nogami, bardziej agresywnym zachowaniem i charakterystycznym, tępo zakończonym grubym ogonem z czarnymi pręgami (pierścieniami). Doskonałym miejscem do bytowania żbików jest np. Bieszczadzki Park Narodowy. Daleko stąd do ludzkich siedzib, a zatem i minimalna możliwość kontaktów z wioskowymi krewniakami.

Szczyście w nieszczyście

Żbika objęto ochroną w 1952 roku, kiedy zorientowano się, że jest na granicy wyginięcia. Wcześniej stanowił łakomy kąsek dla myśliwych – polowano na niego z uwagi na cenne futro, lecz także dlatego, iż uważano go za szkodnika masowo zabijającego ptactwo, zające, młode sarny, jak również wypasane na górskich halach jagnięta

Żbik mieszka w głębi lasu, ale szukając pożywienia zapuszcza się często na tereny śródleśne, łąki, pastwiska, pola. Poluje o świcie i o zmierzchu. Czyha na swoją ofiarę w zagajniku lub tropi tak długo, aż ją dopadnie. Chwyta za kark i rozszarpuje długimi, ostrymi kłami. Co ciekawe, zwykle zaczyna uczyć od głowy, a dopiero w następnej kolejności zabiera się za tułów i wnętrzności.

i wyruszy na poszukiwanie rzadkiego drapieżnika.

Takie przypadkowe spotkanie miał przed laty Tadeusz Zajac, nieżyjący już leśnik z Dwerniczka. – Zdarzyło się to w 1966 roku. Noc była dość ciemna, szedłem przecinką w masywie Otrytu, gdy nagle coś mignęło w pobliskich zaroślach. Po chwili zobaczyłem tylko oczy i byłem przekonany, że to lis. Błyskawicznie się złożyłem i strzeliłem. Kiedy podszedłem do ofiary, to aż mnie zmroziło. W krzakach leżał martwy żbik. Z samego rana poszedłem wprost do nadleśniczego i jak na spowiedzi wyznałem, że przez pomyłkę zabiłem chronione zwierzę. Szef na tę wiadomość znieruchomiał, ale gdy się dowiedział, że chodzi o żbika, odetchnął z ulgą. Okazało się, że poprzedniego dnia dzwonił do niego z resortu leśnictwa z informacją, iż wydano zgodę na pozyskanie jednego żbika dla potrzeb warszawskiego muzeum. Tym oto szczęśliwym trafem losu uniknąłem odpowiedzialności.

Z widłami na agresora

Po wojnie w Polsce żbiki ginęły nie tylko od kul myśliwych, ale też w sidłach zastawianych przez kłusowników, choć raczej nie dla zamiaru pochwylenia żbika, lecz np. rysia, którego futro ceniono wyżej. Nie da się policzyć, ile osobników gatunku *Felis silvestris* zginęło w taki sposób, ale można przypuszczać, że co najmniej kilkanaście. Zdarzało się i wciąż zdarza, że żbiki (i kotożbiki) giną pod kołami samochodów, zwłaszcza w nocy – w końcu mają taki sam odruch na oślepiające światło reflektorów, jak koty domowe.

Bywały też przypadki, zabijania tych rzadkich drapieżców przez rolników. Swego czasu w Moczarach koło Ustrzyk Dolnych żbik zakradł się do zagrody z królikami i poczynił tam niemałe spustoszenie. Zaalarmowany zamieszaniem gospodarz niewiele się namyślał – chwycił widły, zapędził agresora w kąt i zadłgał. Tego samego dnia pokazał

jak pokojowy pupil, lecz niczym najprawdziwszy dzikus – drapał, prychał, sapał, stroszył sierść, słowem – stał się agresywny, jak przystało na drapieżcę z puszczy. Dzieci już takiego przyjaciela nie chciały, toteż ich ojciec oddał go zaprzyjaźnionemu leśniczemu z Czarnej, ten zaś – mając świadomość, z jakim gatunkiem ma do czynienia – przekazał zwierzątko do stacji badawczej Muzeum i Instytutu Zoologii PAN w Ustrzykach Dolnych. Tu małych spędził kilka miesięcy w specjalnej wolierze, obserwowany przez przyrodników i odpowiednio karmiony. Podrzucano mu m.in. żywe myszy i kurczaki, a żbik natychmiast je atakował. Był to dobry objaw. Po pewnym czasie mogli wypuścić dzikusa w lesie.

Ustawił się i uciekł

Wielu leśników, nawet z długim stażem, nie miało okazji zobaczyć żbika choćby na ulamku sekund. Tymczasem Jan Duell z Nadleśnictwa Baligród dostąpił takowego zaszczytu wcale się nie wysilając. Przed paru laty zimą wybrał się z aparatem do lasu w okolicy Sukowatego, wszedł na ambonę i stamtąd obserwował okolicę. Wszystkiego się spodziewał, ale na pewno nie żbika. Za-

Żbik (*Felis silvestris*) – zamieszkuje najczęściej gęste lasy na górskich obszarach Europy, Kaukazu i Azji Mniejszej. W Polsce obecny już tylko na południowo-wschodzie. W 1944 roku, widząc kurczącą się populację tego drapieżcy, wprowadzono jego całoroczną ochronę, a w 1952 roku objęto ochroną ścisłą. Żbik umieszczony został jednocześnie w Polskiej Czerwonej Księdze Zwierząt w 1980 roku wpisano go do aneksu II Konwencji berneńskiej. Tym samym w wielu krajach wprowadzono ograniczenia mające służyć ochronie gatunku. Żbik żyje samotnie, samice i samce spotykają się tylko na okres rui (w Polsce na przełomie lutego i marca). Po nieco ponad dwóch miesiącach samica rodzi od 1 do 4 młodych. Maluchy przychodzą na świat ślepe, otwierają oczy dopiero w drugim tygodniu życia. Żbik poluje na gryzonie i ptaki, nie gardzi zabami i rybami, niekiedy atakuje koźląta saren i młode zające. Na wolności ten piękny drapieżca żyje około 10 lat, w ogrodzie zoologicznym 12-15 lat.

Nie wszystko kiedyś było złe

Rozmowa z Barbarą Mórąwską, była sekretarz propagandy w Komitecie powiatowym PZPR w Ustrzykach Dolnych i Lesku, gminnym inspektorem oświaty, dyrektorką poradni wychowawczo-zawodowej



Rok 1973. Wmurowanie aktu erekcyjnego pod Zbiorczą Szkołą Gminną w Ustrzykach Dolnych. Z lewej (z białą torebką) Barbara Mórąwska, obok Jerzy Kuberski - minister oświaty i wychowania. Chłopiec z kielnią to Wojciech Domiszewski, obecny dyrektor ustrzyckiej biblioteki
 Fot. Archiwum Barbary Mórąwskiej

- W 1952 roku Ustrzyki Dolne uzyskały status miasta powiatowego, ale po 20 latach go straciły. Jakże były kulisy likwidacji powiatu?

- W 1972 roku zdecydowano, aby utworzyć powiat bieszczadzki, łączący dotychczasowe: ustrzycki, leski i część sanockiego (Komańcza, Rzepedź. W Ustrzykach odbyła się rozmowa z ówczesnym wicepremierem Mieczysławem Jagielskim. Próbowano go przekonać, że siedziba nowego powiatu powinna być w Ustrzykach, między innymi dlatego, iż mają łączność z całością kraju – nie tylko autobusową, ale i kolejową. Były jeszcze jakieś inne argumenty, ale już ich nie pamiętam. Część urzędów powiatowych została w Ustrzykach, inne przeszły do Leska. Utworzenie jednego dużego powiatu bieszczadzkiego było próbą przed wprowadzeniem szerokiej reformy administracyjnej kraju, która miała miejsce w 1975 roku.

- Rok później Bieszczady zaatakował wirus żółtaczki. W Ustrzykach Dolnych dzieci nie chodziły do szkół i przedszkoli, bo lawinowo przybywało chorych.

- W 1976 roku byłam inspektorem oświaty w Ustrzykach, ale bardzo mgliście pamiętam czas epidemii. Wiem, że wszystkie placówki oświatowe były czynne, lecz zajęcia dydaktyczno-wychowawcze się nie odbywały. Przedłużono o tydzień ferie zimowe, a ówczesni maturzyści ze względów epidemiologicznych nie mieli studniówki. Zdrowi nauczyciele byli codziennie gotowi do prowadzenia zajęć, jednak w sytuacji epidemicznej trudno było oczekiwać, że dzieci i młodzież przyjdą na lekcje. Przy obecnej ulicy Łukasiewiczza znajdowały się baraki OHP i właśnie one zostały zaadaptowane na zakaźny szpital polowy, w którym umieszczano chorych.

Najcięższe przypadki kierowano jednak do szpitala zakaźnego w Sanoku. Trudno mi powiedzieć, jak wielu było zakażonych żółtaczką, nie pamiętam też, jak długo trwała epidemia.

- W latach siedemdziesiątych zaangażowała się pani w wydanie książki „Pionierzy”. Czy teksty do niej były wybierane według klucza politycznego?

- Inicjatywą konkursu wyszła od pracowników naukowych Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie (obecnie Uniwersytet Rzeszowski), a koordynującym całe przedsięwzięcie był doktor Henryk Jadam. Organizował on obozy dla studentów, którzy zbierali materiały na temat osadnictwa w Bieszczadach i stąd pomysł na zorganizowanie konkursu. Sprawą zajęłam się, gdy teksty już były napisane. Z tego, co wiem, uczestnicy nie byli doborzeni według jakiegoś „klucza”. Oczywiście zgłosili się ci, z którymi studenci WSP mieli kontakt lub tacy, którzy chcieli podzielić się swymi wspomnieniami, a dowiedzieli się o konkursie. Książka została wydana staraniem WSP; szczegółów nie znam, ale nie wykluczam ingerencji cenzorskich. Nie wiem jednak, czego dotyczyły.

- Lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte obfitowały w Ustrzykach w przedsięwzięcia gospodarcze, a część inwestycji zrealizowano w ramach czynów społecznych.

- Zadania w ramach czynów społecznych były niewielkie: place zabaw, boiska przyszkolne, prace porządkowe. Większa sprawa to tzw. park nad Strwiążem pod Lawortą. Był zakrzaczony, zaniedbany, ale po oczyszczeniu i wytyczeniu alejek stał się ładnym miejscem. Do droższych przedsięwzięć należało odkryte kąpielisko oraz przekaznik telewizyjny. Poważnym wyzwaniem okazało się wytyczenie

tras narciarskich na Gromadzinu, konieczne były fundusze oraz organizacja instytucji zajmującej się sportem. Żadna z dużych budów dla miasta i turystów nie opierała się tylko na pracy społecznej, bo sprzęt i fachowców używały zakłady pracy. Mieszkańcy byli dumni, że przyczynili się do tych inwestycji, a dziś oceniają je jako „komunistyczną propagandę”, co nie ma żadnego sensu. Te przedsięwzięcia nie były propagandowe, lecz służące społeczeństwu.

- Ówczesne władze gminne miały duże plany rozwoju społeczno-gospodarczego Ustrzyk, ale nie wszystko się udało.

- Przeważnie z braku możliwości finansowych. Największym sukcesem było przekonanie centralnych decydentów do budowy kombinatu drzewnego w Ustjanowej, choć w Lesku czyniono starania, by ulokować go w Olszanie. Ostatecznie w Warszawie stwierdzono, że Ustjanowa ma lepszą komunikację z terenami leśnymi, a więc źródłem materiału do produkcji. Pewne znaczenie miała również kolejowa łączność z centrum kraju. Również wpływ na powstanie i kształt zakładów drzewnych miał premier Piotr Jaroszewicz, poseł z naszego regionu, który parokrotnie przyjeżdżał do Ustrzyk na spotkania z mieszkańcami, a Bieszczady były mu bliskie z racji zamieszkania łowickiego.

- W Ustrzykach, nad torami kolejowymi, istnieje cmentarz żydowski. Dziś jest regularnie czyszczony, przy wejściu stoją tablice informacyjne, prowadzi do niego czarny szlak pieszy z centrum miasta. Dlaczego w okresie PRL-u lokalni władze tak bardzo zaniedbali kirkut, który stał się miejscem pijackich libacji i wysypywania śmieci?

- Brak troski o ustrzycki cmentarz żydowski był poważnym błędem, podob-

nie jak o ten w Lutowiskach. Ale to się działo dużo wcześniej niż w okolicach pamiętnego Marca 1968 roku (antysemickiej nagonki w Polsce – przyp. red.). Sytuacja braku zainteresowania kirkutem nie była chyba wynikiem celowych działań, a raczej przecenieniem. Nie uważano sprawy za ważną. Żydowskie płyty nagrobne zobaczyłam, gdy byłam już na emeryturze. Pokazał mi je mój mąż. Leżały na jezdni pomiędzy barem „Turystycznym” a placem Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Wcześniej o nich nie wiedziałam.

- Przez cały okres Polski Ludowej w Bieszczadach obecni byli harcerze. Przyjeżdżali tu w ramach operacji „Bieszczady’40”. Stacja Sztabowa mieściła się przy ulicy Dzierżyńskiego, obecnie Korczaka, a później na końcu Strwiążyka, blisko źródeł Strwiąża. Jak pani ocenia tę akcję, firmowaną przez samego Edwarda Gierka?

- Wbrew temu, co się mówi, operacja „Bieszczady 40” nie miała istotnego wpływu na rozwój Bieszczadów. Nie taki był jej cel, a raczej wychowawczy dla uczestników. Młodzież była przyjaźnie przyjmowana przez mieszkańców, dobrze oceniano jej starania, aby przysłużyć się Bieszczadom. Harcerze pracowali w lasach, porządkowali tereny zielone, prowadzili też bardzo popularne dziecięce wsiach w okresie prac polowych. Młodzież z różnych terenów Polski poznała problemy bieszczadzkie i trudną historię tego regionu, a przy okazji zostawiała coś po sobie.

- Przed dwoma laty rozebrano w Jabłonkach pomnik generała Karola Świerczewskiego, w ślad za tym zniszczono też tablice upamiętniające żołnierzy KBW, którzy budowali bieszczadzkie obwodnice. Słusznie?

- Generał Świerczewski miał swoje

zasługi w walce o Polskę. Można to ocenić politycznie, że na przykład służył uzależnieniu naszego kraju od ZSRR. Częściowo na pewno tak było, ale nie wiem, czy taki był jego cel. Jako żołnierz i dowódca zajmował się przede wszystkim walką, a w Bieszczadach trzeba było pokonać UPA. Zginął tu i zasłużył na pomnik. Możliwe, że jego legenda była przesadzona, ale likwidację pomnika czy tablic uważam za błąd. W ogóle nie należy usuwać żadnych pomników, bo to historia, którą w różnych okresach różnie się interpretuje. Na pewno nie można czcić pomnikami twórców i wyznawców faszyzmu lub stalinizmu, ale to wyjątkowa sytuacja. Zniszczenie pomników milicjantów i żołnierzy KBW uważam za działania bezmyślne. Oni walczyli o spokój na tym terenie i możliwość normalnego rozwoju. Ocena polityczna jest w stosunku do nich niesprawdziwa – powinny zostać, bo taka była historia, bardzo skomplikowana. Tak samo jak powinniśmy pamiętać o ludzkości zamieszkujących te tereny przed nami: Lemkach, Bojkach, Żydach i innych.

- Swego czasu zaangażowała się pani mocno w budowę ośrodka szkolno-wychowawczego w Ustrzykach Dolnych. Plany były ogromne...

- Minister oświaty i wychowania Jerzy Kuberski był zafascynowany Bieszczadami i bardzo zainteresowany rozwojem edukacji na tym terenie. W 1972 roku zorganizował w Lesku, w nowo powstałym powiecie bieszczadzkim, konferencję na temat stanu oświaty w tzw. Polsce „B”. Wiceministrowie oraz dyrektorzy różnych departamentów ministerstwa odwiedzili kilka szkół w powiecie. Celowo pokazaliśmy im te funkcjonujące w najtrudniejszych warunkach, w Teleńcu, Stańkowie czy Lutowiskach. Szkoła w Lutowiskach miała nieco lepsze warunki, ale budynek był już stary, nawet w jednej sali urwał się kawałek sufitu. Oględziny te przyspieszyły budowę szkoły zbiorczej w Ustrzykach Dolnych, która była już rozpoczęta. Jerzy Kuberski był na wmurowaniu pod nią aktu erekcyjnego w 1973 roku oraz na uroczystym otwarciu 16 października 1975 roku. Lutowiska również doczekały się nowego budynku szkolnego. W tym czasie podjęto też decyzję o budowie Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Ustrzykach, w którym miały być: szkoła podstawowa, liceum ogólnokształcące, szkoła specjalna, szkoły zawodowe i internaty dla uczniów. Chyba w 1974 roku minister Kuberski wmurował akt erekcyjny pod ośrodek. Pierwszą inwestycją była ciepłownia, która miała zaopatrzyć ośrodek w ciepło, później przez jakiś czas służyła osiedlu przy ulicy PCK. Wybudowano również baraki dla młodzieży szkół budowlanych z całej Polski i junaków OHP, którzy mieli odbywać praktyki zawodowe na tej budowie. Tak też się stało. Junacy i inni przyjeżdżali tu na obozy i pracownie. Rozpoczęto również budowę dwóch bloków przeznaczonych na internat. Teraz są tam mieszkania dla nauczycieli i szkoła specjalna.

- Na tym inwestycja się skończyła. Dlaczego?

- Nie wiem, na jakie fundusze liczył Jerzy Kuberski, ale ich nie uzyskał. Jego następcą, Józef Tejchma, próbował kontynuować zadanie, lecz musiał zrezygnować z powodu braku pieniędzy. Inwestycje, które zostały w Ustrzykach po ministrze Kuberskim, choć nie w pełni zrealizowane, służą społeczeństwu i może jeszcze niekiedy pamiętać, że był taki minister marzyciel.

- Dziękujemy za rozmowę.

ADAM LEN
 KRZYSZTOF POTACZAŁA

Krwawe boje pod Lutowiskami i Soliną

Pierwsza wojna, pal ją sześć, to już tyle lat... - śpiewał rosyjski bard Bułat Okudźawa. A jednak ta odległa wojna zmieniła świat. Rozpadły się monarchie, narody wybiły się na niepodległość.

Wydarzenia na karpackim froncie zostały na pewno w pamięci tych, którzy je przeżyli. Dziś dzięki Internetowi możemy łatwiej dotrzeć do różnych tajemnic tej wojny. Ale nie wszystko się udaje.

Kiedy zająłem się smutnymi pamiętkami – pokłosem tej wojny – jakimś cmentarzem, musiałem szukać nazwisk tych, którzy tu walczyli. Częściowo się udało dla wojsk sprzymierzonych, ale o Rosjanach nie miałem wiedzy. Dopiero ostatnimi czasy ten stan się zmienia, choć nie do końca. A przecież ich straty też liczono w tysiącach. Świadczy o tym żałobna nutka śpiewana po cichu przez Rosjan podczas odwrotu z Karpat: *Tri korpusy na Karpaty, a z Karpatow tri soldaty.*

Nieprzyjazne góry, mróz i śmierć

Prawie w każdym opracowaniu historycznym o walkach w Bieszczadach pojawia się zapis o bitwie stoczonej pod Lutowiskami przez rosyjską, tak zwaną, Dziką Dywizję, dowodzoną przez gen. Nachiczewskiego. Szukałem źródeł o tym fakcie w archiwach i w terenie, i nie znalazłem. Poprosiłem więc o pomoc swego przyjaciela Sergieja Nelepowicza, historyka z dalekiej Moskwy. Będąc autorem opracowania *Z historii Karpackiej Operacji*, przesłał mi taką notatkę:

Na przełomie 1914-1915 Kaukaska Tuzemna Dywizja Konna (zwana też Dziką) natarła na południe od Przemyśla, żeby odeprzeć oddziały austriackie od twierdzy. Dotarła tu w końcu grudnia i poniosła duże straty z powodu silnych mrozów, znacznie większe niż w bojach. General-lejtenant Gussejn Ali Khan Nachiczewski dowodził tą jazdą. Doszła ona do Lutowisk 20 grudnia (2 stycznia 1915 kalendarza europejskiego) i następnego dnia pogromiła 218. Batalion landszturmu (ok. 500 jeńców). Natomiast w styczniu poniosła pod Lutowiskami porażkę i odeszła na wschód aż do Strzyna. W bitwie pod Lutowiskami dywizja straciła 2 oficerów i 45 szeregowych zabitych, 15 oficerów i 157 szeregowych rannych i 3 szeregowych zaginionych (prawdopodobnie wziętych do niewoli). Z powodu ataku silnego mrozu utracili także 178 ludzi zamrożonych.

Wiemy zatem, że bitwę stoczono, znamy jej pokłosie, ale wciąż pozostaje tajemnicą, gdzie pochowano tych, którzy w niej polegli. Kiedyś przy spotkaniu z poszukiwaczami militariów usłyszałem, że gdzieś na zachodnim stoku Ostrego są masowe mogiły. Nie trafiłem tam, zresztą ich nie szukałem, bo to jak ta igła w stogu siana. Ktoś z dawnych mieszkańców wspominał, że na miejscowym cmentarzu były groby żołnierskie z tego okresu, ale pojedyncze. Natomiast w zasobach Archiwum Wojskowego w Pradze odnalazłem 42 imienne karty grobowe pochowanych w Lutowiskach. Przynależeli oni do węgierskich



W 1914 i 1915 roku Kaukaska Tuzemna Dywizja Konna stoczyła krwawe boje z armią austriacką w okolicach Lutowisk. Fot. Jacek Bis



General Ali Khan Nachiczewski

Źródło: Wikipedia.pl

formacji HIR 13,14,15. Ich daty śmierci to styczeń i luty 1915 roku. Musiał być w tej miejscowości jakiś lazaret, gdzie udzielano pomocy medycznej. Ci, którzy jej nie doczekali lub mieli ciężkie obrażenia, zostali. Zatem kto wie, gdzie jest miejsce spoczynku tych, których wtedy pojednała śmierć? Dziś możemy im podarować słowa: *Obcą Wam była ziemia, na której walczyliście. A teraz jest Wam droga, bo obejmuje Was jak Matka.*

Dwieście pięćdziesiąt ofiar jednej bitwy

Turyści i letnicy licznie odwiedzający rejon Soliny patrzą z zachwytem na zalesione wierzchołki wzgórz otaczających wody zalewu.

doń z bliskiej odległości gesty, celny, huraganowy ogień z broni ręcznej i maszynowej. W ciągu kilku minut zginęło około dwustu pięćdziesięciu ludzi, razem z dowódcą pułku. Jęk i krzyk ginących i rannych oraz kwik koni słyszeliśmy aż w odległym o około trzy kilometry Łęgu. Poległych pogrzebano w lesie na Starym Folwarku, w jednej mogile – rannych zawieziono do Soliny, gdzie był tymczasowy szpital polowy, a raczej punkt opatrunkowy, bo właściwe szpitale znajdowały się dopiero w Lesku i Ustrzykach Dolnych. Nikt nie zaopiekował się mogiłą, nikt nie zabezpieczył miejsca jednego z setek tysięcy grobów nieznanego żołnierza, tak gęsto rozsianych w Bieszczadach.

Oglądaliśmy też walkę nacierającej piechoty rosyjskiej na Austriaków okopanych na Stożkach nad Teleśnicą Samą. Wtenczas spadł pierwszy śnieg – widzialność była doskonała. Przez pola pokryte białą płachtą śniegu posuwała się tyraliera piechoty rosyjskiej, widoczna od nas jak na dłoni. Okrzyki ura i komendy wpięto, mimo odległości trzech kilometrów, dotatywały do nas nader wyraźnie. Stał się jak zakłeci, obserwując postawę tyralier, za którymi co chwilę pozostawała ciemna „kupka” – to ranni lub zabici żołnierze upadali na śniegu, a ich towarzysze parli do przodu i także umierali, bo taka była wola cara. Przy dużych ofiarach Stożki zdobyto, ale i po stronie austriackiej zapewne były straty. Poległych w tej bitwie pochowano na cmentarzu w Teleśnicy Samej – spoczywają dziś na dnie jeziora. Zbyteczne jest zabezpieczenie ich grobów, nikt po nich deptać nie będzie. Świadcami podobnych walk byli też mieszkańcy Wólkowy, Polańczyka, Soliny, Zabrodzia, Bóbrki, Sokolego, Rajskiego, Sakowczyka i innych okolicznych wsi.

W poszukiwaniu zaginionych grobów

Zainteresowałem się tym opisem. Byłem tam kilkakrotnie, nie nie odkryłem ani niczego się nie dowiedziałem. Wody zalewu zmieniły topografię. Ale koniecznie chciałem odkryć tajemnicę tego miejsca.

Kiedy pewnego dnia pojawiłem się koło jedynych w tym rejonie zabudowań, ich mieszkanka musiała mnie zapamiętać z poprzednich penetracji terenu, bo nie wytrzymała i zapytała, czego szukam. Kiedy ujawniłem swój zamiar odrzekła, że chyba może pomóc. Odeszliśmy kilkadziesiąt metrów od gospodarstwa i w miejscu, gdzie kończyła się jej posesja, pokazała na nikłą skarpe. Powiedziała, że to tutaj i że tak przekazała jej matka. Wspominała, że pochowano tu wielu Rosjan, a końskie trupy leżały na nadszańskich skarpach. Miejsce nie było oznaczone, groby się zapadły, a reszty dokonali nieświadomi historii budowniczości drogi leśnej.

Temat nie dawał mi spokoju, próbowałem pisać do lokalnej prasy, zwróciłem się do księży, ale żadnego odzewu nie było. Płynęły kolejne lata, aż przypadkowo natrafiłem na kronikę węgierskiego 39 HIR. W jednym z zapisów można przeczytać:

15-18 X [1914 r.]:

Rosjanie podczas walk o Łobozew Górny strzelali ciężkimi granatami artylerii. Na przykład obserwowali również studnię, z której nasi żołnierze pili wodę pitną i utrzymywali ją pod ciągłym ogniem. Domy w wiosce płonęły (...). Od samego rana mieliśmy silny atak piechoty i ostrzał z karabinu maszynowego, a od [godz.] 8 rano bardzo obfity ostrzał z armat zdzielił nasze linie. Wieś została całkowicie zalana przez Rosjan pociskami dużego kalibru. W takim pożarze nie można było myśleć o dalszym ataku. Ogień [artylerii] szalał przez cały dzień, osiągając szczyt między 14 a 15, ale noc nie była spokojniejsza. Rosjanie o 21.30 wtargnęli do wioski w gestych liniach jedna za drugą, to powtórzono po północy kawalerią, ale za każdym razem bezskutecznie.

Zacieklej walki dzisiaj nie znalazła (...). Podczas walk na cmentarzu por. Pribil wyróżnił się znakomitym dowództwem oddziału karabinów maszynowych (...). Zmarłych chowano na miejscu, w tym jednego rosyjskiego pułkownika i trzech rosyjskich oficerów oraz ponad 200 rosyjskich żołnierzy. Żywi leżeli na linii bitwy jak martwi, nie było mowy o transporcie rannych...

Pomyślałem, że skoro w tym rejonie doszło do rozbitcia oddziału rosyjskiej kawalerii, to jakiś zapis powinien być właśnie w rosyjskich archiwach. Jak zwykle poprosiłem o pomoc kolegę z Moskwy. Oto co napisał: (pisownia oryginalna) *Z dowodów jazdy tylko jeden polkownik był zabity w Karpatach - to komendant Czecczeńskiego polka jazdy kszan Aleksandr Swiatopolk-Mirski.*

Czy ktoś wie więcej?

Zatem wiemy już coś od strony historycznej. Do dziś owo miejsce nadal nie jest oznaczone w terenie, nie ma tu nawet czegoś sfotografować, choć na dobrych mapach dr. Wojciecha Krukara już pojawił się w tym miejscu znak cmentarza. Czy ktoś wie nieco więcej, zna inną lokalizację bądź też okoliczności zatarcia mogił?

A może ten artykuł zaowocuje ustawieniem tam dwuramiennego krzyża?

ROMAN FRODYMA

Konfitura z czerwonego rabarbaru



Fot. Barbara Mrozek-Chrobak

Jeśli zdarza się wam tęsknić zimą za latem, to spróbujcie zamknąć go w słoiku. Potrzebny nam jest do tego rabarbar i cukier. Co ważne, przygotowanie tej konfitury jest banalnie proste.

Na konfiturę z rabarbaru najlepiej będzie, gdy wybierzemy oczywiście rabarbar z naszego przydomowego ogródka. Łodygi powinny mieć czerwone wybarwienie. Robimy ją trzy

dni, a przygotowanie jest wyjątkowo proste: kroimy, smażymy i mieszamy.

Produkty: 2 kg łodyg rabarbaru, 1 kg cukru oraz 1 szklanka wody.

Przygotowanie: do rondla wrzucamy pokrojony rabarbar, dodajemy stopniowo cukier, wodę i mieszamy. Zawartość w rondlu każdego dnia podgrzewamy kilka razy w odstępach czasowych, ale bardzo krótko. Doprowadzamy do wrzenia, wyłączamy palnik i pozostawiamy do odparowania. Trzeciego dnia nakładamy gorącą konfiturę do słoików i nie pasteryzujemy.

Polecam – konfitura jest bardzo smaczna i aromatyczna. Lekko podgrzana świetnie smakuje z lodami waniliowymi. Można ją też dodać do porannej owsianki czy jaglanki.

B. M. - Ch.

Ażurowe pisanki



Fot. FB/ Andrzej Kościelny

AUTOR: Andrzej Kościelny. Prace tego rękodzielnika są wyjątkowe - to piękne i delikatne pisanki ażurowe. Jak mówi artysta, swoją pierwszą pisankę ażurową stworzył w celu sprawdzenia samego siebie. Wymagają dużo cierpliwości i opanowania, ponieważ jeden zły ruch może zniweczyć całą wcześniejszą pracę. Do ich wykonywania wykorzystuje najczęściej jaja gęsie i strusie. Pisanki graveruje przy użyciu m.in. małych szlifierek oraz turbin stomatologicznych. Artysta tego rodzaju rękodziełem zajmuje się od trzech lat. Do tej pory stworzył ponad 100 pisanek, z których część trafiła do jego bliskich i znajomych.

Kontakt: FB/Andrzej Kościelny oraz GDK Chorzelów.

paba

Lilak pospolity – bardzo dobry na stres, cz. II

W tym odcinku kontynuuję temat bzu lilaka. Jakiego ma właściwości?



Przed wszystkim działa napotnie, przeciwgorączkowo, przeciwwzpalnie oraz przeciwreumatycznie. Wzmaga odporność organizmu. Przeciwdziała też namnażaniu drobnoustrojów, pasożytów, grzybów, bakterii i wirusów. Ponadto hamuje transformację nowotworową

i działa cytotoksycznie wobec komórek rakowych. Wodny wyciąg z kwiatów i liści zatrzymuje namnażanie wirusa zapalenia wątroby typu B. Lilak ma ogromne znaczenie w leczeniu chorób lękowych, niwelacji stresu, wspomaga leczenie depresji, a także grzybic układujących, chorób wątroby i trzustki. Roślinę warto też stosować zewnętrznie do przemywania skóry, na trudno gojące rany, natomiast wyciągami płukać jamę ustną i narządy płciowe.

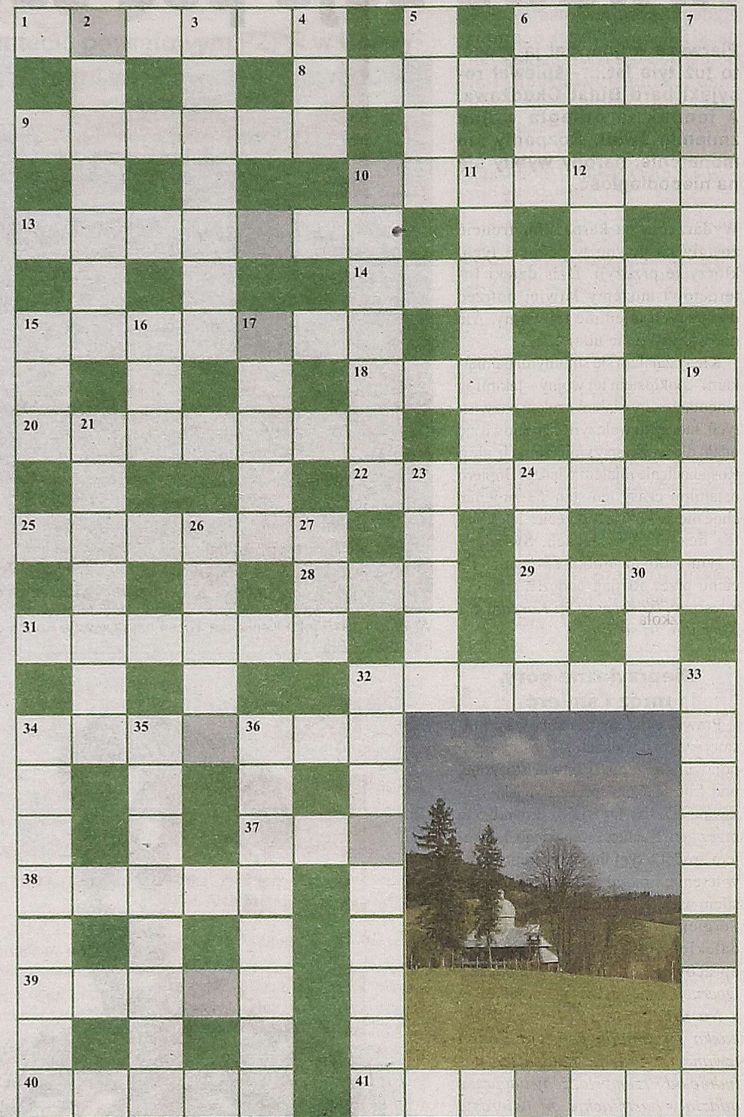
Osobiście chętnie wykorzystuję lilaka do produkcji naturalnych kosmetyków. Robię z niego toniki, płyny micelarne, bo poprawia elastyczność skóry, niweluje przebarwienia i stany zapalne. Świetnie sprawdza się do pielęgnacji cery łojotokowej i z trądzikiem różowatym. Poprawia też elastyczność i wygląd skóry wokół oczu.

Jak przygotować tonik do przemywania skóry? Wystarczy zaparzyć świeżo zebrane kwiaty, które wcześniej spryskujemy etanolem. Taką wodę warto zakwasić cytryną lub octem jabłkowym. Można ewentualnie zakonserwować ekologicznym konserwantem.

Oprac. Pyziółka (Dominika Pyra)
Źródło: (zielarstwo.rzeszow.pl, FB/zielarstwo.rzeszow, FB/chata-zielarki, rozanski.li)

KRZYŻÓWKA

KUPON 701



POZIOMO:

1) imię sanockiego poety Szubera; 8) małe imadło; 9) napisał „Trzy po trzy,” gdzie zawarł swoje wspomnienia z pobytu w Bieszczadach na pocz. XIX w.; 10) ogromny but; 13) forma dzierzawy; 14) śpiewak o głosie sopranowym lub altowym, uzyskanym sztucznie przez operację narządów płciowych przed okresem dojrzewania; 15) część łożyska ślizgowego lub część stawu; 18) choroba tropikalna wywołana wskutek obecności filarii *Loa loa* w ludzkim ciele; 20) wracali z nocnej wycieczki u Mickiewicza; 22) rzeka w Estonii; 25) pion w grach planszowych; 28) jedno podejście do sztangi wykonywane w podnoszeniu ciężarów; 29) w piosence Heleny Majdaniec lepszy od maślaka; 31) w prawie rzymskim stanowisko prawne osoby; 32) mocny w oberku; 34) liczą ją odchudzający się; 37) drugie imię skrzypaczki Vanessy; 38) niezbędna do gry w badmintona; 39) imię poetki urodzonej w Bezmiechowej; 40) używana na pieluchy kiedy nie było jeszcze pampersów; 41) jedzenie na przetrwanie.

PIONOWO:

2) np. Judasz; 3) dokładnie, gruntownie poznawać coś za pomocą analizy naukowej; 4) de Janeiro lub Grande; 5) metropolia Azerbejdżanu; 6) francuska czapka wojskowa; 7) poemat napisany przez Wincentego Pola; 10) w kexsie; 11) lody w kształcie półkuli z kilku warstw; 12) wieś w gminie Skępe w powiecie lipnowskim; 15) Wincenty, autor przebudowy zamku w Lesku; 16) gwóźdź do metalu i blach; 17) pogardliwie wsiowy, chłop, prowincjusz; 19) konserwatywny menonita; 21) słodka..., o ładnej, lecz mało inteligentnej kobiecie; 23) starszy od kapitana; 24) krakowski poeta mający pomnik na Przelęczy Wyznej; 26) wśród modeli Fiata; 27) system wspomagający hamulce; 30) osobowa forma liczebnika dwa; 32) trzecia era w dziejach Ziemi; 33) związany z Rzepedzią, autor powieści Hnatowe Berdo; 34) środek impregnacyjny i grzybobójczy do drewna, ze względu na swoje trujące właściwości wycofany z użytku; 35) kurs nauki języka obcego; 36) indyjska epeja rycerska, przypisywana legendarnemu pocięciu Walmikiemu.

Z liter znajdujących się w szarych okienkach należy ułożyć hasło będące rozwiązaniem krzyżówki. Rozwiązania prosimy nadsyłać na adres redakcji do 18. 06. 2020 r.

W losowaniu nagrody wezmą udział wyłącznie rozwiązania nadesłane na kuponach wyciętych z „GB”.

Fundatorem nagrody za rozwiązanie krzyżówki nr 701 jest „Gazeta Bieszczadzka”.

Wyniki losowania nagrody za krzyżówkę nr 701 zostaną opublikowane w „GB” nr 11/2020 W wyniku losowania nagrodę za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 700 otrzymuje Pani Janina Hołubowska. Hasło krzyżówki nr 700 „BACHLAWA”.

Szkoły z Ustrzyk w czołówce

W roku 2019/20, w związku z epidemią koronawirusa, Podkarpacki Szkolny Związek Sportowy podjął decyzję o wcześniejszym zakończeniu rywalizacji. Największym osiągnięciem wśród bieszczadzkich szkół może się pochwalić ustrzycka „Dwójka”, która w Igrzyskach Dzieci zajęła w klasyfikacji wojewódzkiej drugie miejsce.

Szkolny Związek Sportowy organizuje i przeprowadza zawody w trzech kategoriach wiekowych, w kilkudziesięciu dyscyplinach indywidualnych i zespołowych.

Igrzyska Dzieci

Zgromadzonych 375 punktów młodych sportowców z Ustrzyk pozwoliło szkole na zajęcie drugiego miejsca i powtórzenie wyniku z ubiegłego roku. Na dorobek złożyły się wyniki w kilku dyscyplinach. Najwięcej punktów przysporzyli narciarze, gromadząc ich 170. Specjaliści od biegów przełajowych dołożyli 117. W mini koszykówce szkoła zdobyła 20 punktów, a



W Rejonowych Igrzyskach Młodzieży Szkolnej w tenisie stołowym, rozegranych w hali sportowej przy SP 1 Ustrzyki Dolne, zwyciężyli pingpongiści z Haczowa. Fot. Archiwum UM Ustrzyki Dolne.

kolejne wywalczyli: lekkoatleci – 15 i szachiści – 8.

Na 33. miejscu w województwie sklasyfikowana została druga z ustrzyckich podstawówek. „Jedynka” zgromadziła w sumie 132 punkty. Tutaj największą zdobyczą mogą pochwalić się przełajowcy – 44 punkty, lekkoatleci – 39, oraz tenisiści stołowi – 30 punktów. Pozostałe szkoły z po-

wiatu bieszczadzkiego zajęły miejsca: 73. – SP Ustjanowa Górna; 107. – SP Czarna; 171. – SP Ropienka; 229. – SP Lutowska. Ogólnie sklasyfikowano 565 szkół.

Z powiatu leskiego najwyższe – 21. miejsce, zajęła SP Lesko, gromadząc 160 punktów. W pierwszej setce zmieściły się jeszcze szkoły z Uherzec Mineralnych – 69. m. i Bóbrki – 80.

Pozostałe szkoły z powiatu leskiego uplasowały się na miejscach: SP Cisna – 160.; SP Hoczew – 167.; SP Średnia Wieś – 197.; SP Mchawa – 380.; SP Myczków – 426.; SP Baligród – 432.; SP Wołkowyja – 451.; SP Olszanica – 463. W sumie w klasyfikacji Igrzysk Dzieci szkoły z powiatu bieszczadzkiego zgromadziły 667 punktów, a z leskiego 387.

Igrzyska Młodzieży Szkolnej

Starsi uczniowie (14-15 lat) rywalizowali w Igrzyskach Młodzieży Szkolnej. Wśród 557 szkół województwa podkarpackiego ponownie najwyższą lokatą z bieszczadzkich szkół przypadła SP nr 2 SMS w Ustrzykach Dolnych. 411 punktów pozwoliło zająć tej szkole 5. miejsce na Podkarpaciu, co również jest wyrównaniem osiągnięć z sezonu 2018/19. Prawie połowa dorobku to punkty wywalczone przez narciarzy (200). Przełajowcy zdobyli ich 115, pozostałe to osiągnięcia koszykarzy – 66 oraz lekkoatletów – 30.

Na 47. miejscu rywalizację zakończyła SP nr 1 w Ustrzykach Dolnych. Na 122 punkty 30 wybiegali przełajowcy, a 28 wywalczyli lekkoatleci. Duże osiągnięcia szkoła miała z grach zespołowych. Piłkarze ręczni i siatkarze zdobyli po 20 punktów.

„Jedynka” odnotowała spory spadek w klasyfikacji. W poprzedniej edycji była 19. szkołą na Podkarpaciu.

Inne szkoły z powiatu bieszczadzkiego, rywalizujące w Igrzyskach Młodzieży Szkolnej, zajęły miejsca: SP Czarna – 165.; SP Ropienka – 196.; SP Ustjanowa-Górna – 249.; SP Lutowska – 257.; SP Wojtkowa – 327. Najwyżej z powiatu leskiego, na 57. miejscu, sklasyfikowano SP Lesko.

Licealiada

Najstarsi uczestnicy rywalizacji (uczniowie szkół średnich) brali udział w Licealiadzie. Na Podkarpaciu punkty zdobyło 160 szkół średnich. Spory awans odnotował Zespół Szkół Licealnych w Ustrzykach Dolnych. Szkoła uplasowała się na 12. miejscu zdobywając 409 punktów, co w porównaniu z 45. lokatą rok wcześniej jest niewątpliwie dużym sukcesem. Spadek o trzy pozycje odnotował Bieszczadzki Zespół Szkół Zawodowych, który z dorobkiem 135 punktów został sklasyfikowany na 64. miejscu w województwie.

Leskie szkoły średnie uplasowały się odpowiednio: LO Lesko – 110. miejsce; Zespół Szkół Leśnych – 146.

ADAM LEN

Gwiazdy sportu z bieszczadzskimi akcentami

CEZARY KASSAK, WALDEMAR MAZGAJ

60 LAT SPORTU NA PODKARPACIU

Historia widziana przez pryzmat plebiscytu „Nowin”



W 1960 roku „Nowiny Rzeszowskie” po raz pierwszy ogłosiły rozpoczęcie plebiscytu na dzieje najlepszych sportowców województwa rzeszowskiego.

„Począwszy od dnia dzisiejszego [14.11.1960 – przyp. dow] aż do dnia 20.1.1961 trwać będzie Wielki Konkurs – Plebiscyt, którego organizatorami są Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki, Redakcja <<Tempa>> i <<Nowin Rzeszowskich>>” – czytamy w zamieszczonym fragmencie skanu „Nowin Rzeszowskich” z 14.11.1960 r.

Ów fragment pochodzi z książki autorstwa Cezarego Kassaka i Waldemara Mazgaja „60 lat sportu na Podkarpaciu: historia widziana przez pryzmat plebiscytu <<Nowin>>”. Autorzy podkreślają, że plebiscyt był i jest „ważnym wydarzeniem w życiu regionu”. Niemniej samym w sobie wydarzeniem „były i są plebiscytowe bale i gale, czyli uroczyste podsumowania każdej edycji konkursu. To imprezy, podczas których konferansjerami bywały osoby znane z telewizyjnego <<okienka>>, to okazja do uhonorowania sportowej elity, do

szampańskiej zabawy i do... odważnych deklaracji. Na takim balu zapaśnik Kazimierz Lipień głośno obiecał, że zdobędzie tytuł mistrza świata [i słowa dotrzymał – przyp. dow], a akrobata Jakub Tronina... poprosił swoją wybrankę o rękę”.

Książka to przede wszystkim plejada najlepszych sportowców Podkarpacia. Warto przypomnieć sobie znane osoby ze świata sportu, tworzące pewien panteon gwiazd, którymi zachwycaliśmy się, ceniłiśmy i może nadal są dla nas ikonami. Są wśród nich m.in. zmarły tragicznie Waław Nycz – trzykrotny mistrz świata w samolotowym lataniu precyzyjnym; Adam Sandur – zapaśnik, brązowy medalista Igrzysk Olimpijskich w Moskwie w 1980 r.; Grzegorz Łato – król strzelców z Mistrzostw Świata w 1974 r., dwukrotny zdobywca trzeciego miejsca z drużyną na Mistrzostwach Świata i dwóch drużynowych medali Igrzysk Olimpijskich; nieżyjący

Kazimierz Lipień – zapaśnik, dwukrotny medalista Igrzysk Olimpijskich, dwukrotny Mistrz Świata i trzykrotny Mistrz Europy; nieżyjący Lucjan Trela – bokser, pięciokrotny złoty medalista Mistrzostw Polski w wadze ciężkiej (walczył z George'em Foremanem, przegrał na punkty); Henryk Kasperczak – piłkarz Stali Mielec i reprezentacji narodowej; Jan Falandyś – zapaśnik, dwukrotny medalista Mistrzostw Świata i Europy; Jan Domarski – piłkarz, zawodnik kadry narodowej (strzelona przez niego historyczna bramka w Wembley w 1973 r., dała awans reprezentacji do Mistrzostw Świata w Niemczech); Izabela Zatorska-Pleskacz – biegaczka górską, zwyciężyła dwa razy w Pucharze Europy, wybiegała dwa srebrne medale w Mistrzostwach Świata; Marta Niewczas – wielokrotna Mistrzyni Świata i Europy w karate tradycyjnym.

Warto wspomnieć także o nominowanych do plebiscytu sportowcach z Bieszczadów, wśród których znaleźli się: Magdalena Guzkowska (szachistka z Sanovii Lesko), Edmund Kramarz (lekkoatleta z Sanovii Lesko), Marek Jonasz (karateka z Ustrzyk

Dolnych, reprezentant Sanockiego Klubu Karate) oraz Ewelina i Marcelina Marcisz (biegaczki narciarskie z MKS Halić Ustrzyki Dolne).

Wiadomo, że sukces sportowy osiąga się dzięki predyspozycjom, ciężkiej pracy i wyrzeczeniu. Na rezultaty pracuje się razem z trenerem. Na kartach książki są oni wspomniani, m.in. trzej nieżyjący trenerzy: Edmund Zientara (prowadził piłkarzy ze Stali Mielec), Jan Strzelczyk (szkoleniowiec siatkarzy Resovii, tworca zagrania zwanego podwójną krótką) i Bronisław Ginalski (trenował zapaśników Stali-Rzeszów), a także Zbigniew Nęcek (trener pingpongistów z Tamobrze-ga) i Andrzej Kowal (trener z sukcesami w prowadzeniu siatkarzy Resovii).

Autorzy książki postarali się, aby przekazana treść nie nudziła, lecz wciągała. Sporo włożyli pracy, zwłaszcza archiwalistycznej, w tym w przygotowanie plebiscytów „rok po roku” z listą najlepszych sportowców i ich klasyfikacją.

dow
Cezary Kassak, Waldemar Mazgaj, 60 lat sportu na Podkarpaciu: historia widziana przez pryzmat plebiscytu „Nowin”, Polska Press Grupa, Rzeszów 2020.

Park Narodowy zaprasza

Po okresie zakazu wstępu na teren parków narodowych, związanego z epidemią, można ponownie zwiedzać i wędrować po obszarach chronionych, oczywiście przy zachowaniu reżimu sanitarnego.

W pierwszym okresie „luzowania” obostrzeń, BdPN ograniczył korzystanie ze swoich zasobów wyłącznie do szlaków turystycznych. Nie można było np. gromadzić się przy wiatkach i deszczochronach. Obecnie Park stoi ponownie otworem dla turystów. Do zwiedzania udostępnione są wszystkie szlaki turystyczne. Można korzystać z całej infrastruktury, w skład której wchodzi wiaty, deszczochrony, wiaty ogniskowe. Pamiętać jedynie trzeba o zachowaniu dystansu społecznego wynoszącego w takich miejscach dwa metry.

Dyrekcja BdPN zachęca do wycieczek na mniej uczęszczane, a również atrakcyjne, szlaki turystyczne. Wiadomo od lat, że prawie połowa turystów wchodzących na szlaki w parku wybiera jeden z dwóch szczytów; są to Tarnica i Polonina Wetlińska.

Poprawa infrastruktury w dolinie górnego Sanu spowodowała atrakcyjnienie tej części parku. Spacer do źródeł Sanu czy wycieczka do Dźwiniacza Górnego zapewni nie mniejsze wrażenia niż wyjście na koraś z połonin.

W obecnym sezonie, podobnie jak w następnym, na pewno zmniejszy się zainteresowanie Poloniną Wetlińską, co związane jest z przebudową schroniska. Szlak został poprowadzony tak, aby omijał plac budowy. Dostępna dla turystów jest baza edukacyjna. Można korzystać z

salki edukacyjnej w Wołosatam. Od pierwszej połowy maja turyści mają możliwość zwiedzania muzeum przyrodniczego w Ośrodku Edukacji Ekologicznej w Ustrzykach Dolnych. Muzeum jest czynne od wtorku do soboty w godzinach 9-17. Na razie zwiedzanie ograniczone jest do osób indywidualnych. Grupy zorganizowane muszą jeszcze poczekać. Dostępna jest także baza noclegowo-edukacyjna w terenowych stacjach edukacji ekologicznej w Wołosatam i Suchych Rzekach.

Władze Parku apelują do turystów, aby przed przyjazdem w Bieszczady zapoznali się z zasadami korzystania z obiektów w BdPN. Wszelkie informacje na bieżąco zamieszczane są na stronie www.bdpn.pl

/ela/

Bibułkowy świat

W Bóbrce koło Soliny znają go wszyscy – nie tylko dlatego, że się tu urodził i został. Jego, Andrzeja Kusza, znają daleko dalej. Od paru lat jeździ po Polsce i uczy nieznaną w wielu regionach sztuki użytkowej.

Był jeszcze dzieckiem, kiedy po raz pierwszy usłyszał, jak to przed wojną w jesienno-zimowe dni kobiety zbierały się w chatkach i pracowały przy przycinaniu i przycinaniu przycinano papieru w bukietach kwiatów lub inne ozdoby. Po latach przypominały

– gdy poznał dogłębniej tajniki pracy w bibule, mógł się nimi podzielić z innymi. – Zaczęłam organizować warsztaty, najpierw dla gości, potem także dla dzieci i młodzieży z Bóbrki, a w końcu dla wszystkich chętnych. Okazało się, że ludzie bez większych

dalej kształcą swoje umiejętności w dziedzinie bibulkarstwa. Potem przysyłały e-mailem do swego nauczyciela sfotografowane prace, prosząc o ocenę i doping do dalszej twórczości

Dla części z nich jest to tylko zajęcie po godzinach w biurze czy w fabryce,



Turyści odwiedzają gospodarstwo w Bóbrce i chętnie biorą udział w zajęciach warsztatowych z bibulkarstwa
Fot. Archiwum Andrzeja Kusza



Andrzej Kusz potrafi przy bibule spędzić nawet cały dzień. Efekt nie wymaga komentarza
Fot. Krzysztof Potaczała

mu się babcine opowieści – akurat wtedy, gdy uruchamiał gospodarstwo agroturystyczne. Uznał, że ładna okolica to za mało, by czasowo wyjeżdżali stąd w pełni zadowoleni. Przecież nie będą od rana do zmierzchu prażyć się w słońcu ani moczyc w jeziorze.

– I wówczas przyszła mi do głowy myśl, żeby zająć ich bibulkarstwem – opowiada pan Andrzej. – Sięgnąłem do źródeł, bo tylko w Bieszczadach bibulkarstwo było do wojny tak mocno rozpowszechnione. Kobiety ze wsi jeździły do Leska lub Ustrzyk Dolnych i tam, w żydowskich sklepach, zaopatrywały się w kolorową bibulę. Wtedy paleta dostępnych barw była jeszcze skromna, nie to, co dzisiaj, ale i tak potrafili z tych zieleni, czerwieni i bieli wyczarowywać cuda.

Cierpliwość popłaca

Andrzej Kusz przejął więc zapomniany fach. Niektórzy z miejscowych nie mogli zrozumieć, dlaczego wziął się za takie niemieckie zajęcie, ale nie zamierzał się przejmować, rozumiejąc, że we współczesnym świecie podział na role męskie i kobiece jest już nieaktualny. Więcej

oporów sięgali po bibulkowe rulony, uczyli się technik tworzenia ozdób i czerpali z tego satysfakcję.

Nie trzeba być wybitnie uzdolnionym, by samodzielnie ułożyć bibułkowy bukiet róż albo nawet bardziej skomplikowaną kompozycję, natomiast jedno w tej pracy jest niezbędne – cierpliwość. Nie każdy z racji charakteru ją ma, ale można się jej nauczyć. Dorośli są bardziej cierpliwi, potrafią nieprzerwanie przez kilka godzin „rzeźbić” w bibule, odcinając się od świata zewnętrznego. Inaczej dzieci – im trzeba organizować krótsze zajęcia i stopniowo wprowadzać w arkana artystycznego tworzenia.

Pan Andrzej zwraca też uwagę na aspekt integracyjny organizowanych przez siebie warsztatów. Na wypoczynek przyjeżdżają goście z różnych stron kraju, nie znają się poza zwyczajowym dzień dobry, tymczasem po wieczorze spędzonym przy wspólnym stole z rozłożoną bibulą – nawiązują koleżeńskie relacje. Przechodzą na ty, wymieniają adresy i telefony, umawiają się na wycieczki w góry. Niektórzy z nich utrzymują te relacje także później. I to oni często



Suknia z kremowej bibuły, która zrobiła furorę na imprezie w Sanoku
Fot. Krzysztof Potaczała

dla innych – możliwość dorobienia do renty lub emerytury. Cieszą się, bo niejednokrotnie po latach niewiedzy odkrywają w sobie uśpiony talent.

Lekarstwo na smartfona

Jeszcze większe znaczenie „praca w bibule” ma dla nastolatków. Tych wszystkich zainfekowanych elektronicznymi urządzeniami –

tabletami, laptopami, smartfonami. Może już niekiedy uzależnionych, nieumiejących poruszać się poza światem wirtualnym, a więc jakoś skrzywionym, nierzeczywistym. Początkowo się śmieją, dogadują, może trochę wstydzą, ale kiedy zaczynają dostrzegać, co można własnoręcznie stworzyć z kolorowej bibuły, takiego niepozornego materiału, budzi się w nich ciekawość.

– Warsztaty dla młodzieży mają wielką zaletę, ponieważ wyciągają nastolatków sprzed ekranów komputerów i telewizorów, a co ważniejsze, pozwalają im na rozmowę w tym samym pomieszczeniu, twarzą w twarz, a nie przy pomocy klikania myszką – tłumaczy Andrzej Kusz. – Nie uważam się za mądrą, edukatora, niemniej jednak staram się własnym przykładem pokazywać, że można pożytecznie spędzać wolny czas, bez obciążają-

styczności z tą – jak twierdzą niektórzy – sztuką, lub – jak sądzą inni – rzemiosłem. Zнали bibulę co najwyżej ze szkoły, gdzie na lekcjach plastyki stawała się użyteczna. Ale z rzadka. Ot, kawałki kolorowej materii służyły do uzupełnienia rysunków lub wykłajanek. Tymczasem w gospodarstwie pana Andrzeja bibuła zmieniała się w małe lub większe dzieła. Wtedy otwierały się ludziom usta ze zdumienia. Także przyjeźdnym z zagranicy – Hiszpanom, Francuzom, Niemcom. Gospodarz zawsze pytał, czy w ich krajach znane są bibulkarckie wyroby, lecz napotykał jedynie na zdziwienie. Oczywiście poza Włochami, gdzie bibuła bywa wykorzystywana w bukietarstwie, jako połączenie kwiatów żywych i tych z papieru, ale tak doskonale wykonanych, że nikt bez dotknięcia nie byłby w stanie zobaczyć różnicy.

Trzeba lubić ludzi

Tak samo jest z pracami Andrzeja Kusza – z bukietami, pojedynczymi kwiatami, palmami wielkanocnymi, choinkami. Albo z suknią ślubną wykonaną w całości z kremowej bibuły. Zrobiła furorę na dużej imprezie artystycznej w Sanoku, gdzie była prezentowana nie na manekinie, ale na młodej, pięknej kobiecie. Chodziła w niej przez kilka godzin i każdemu z osobna musiała tłumaczyć, że to żaden tradycyjny materiał, lecz najwzrokliwsza bibuła, misternie skrecona i połączona w dziesiątki malutkich łusek, szyszek i płatków.

Teraz już wiadomo, dlaczego bibulkarz z Bóbrki zapraszany jest przez domy kultury i stowarzyszenia z całej Polski do prezentacji swoich prac i prowadzenia warsztatów. – Zawsze chętnie jeżdżę, dzielę się wiedzą, choć znajomi zwracają mi uwagę, że może niepotrzebnie odkrywam tajemnice bieszczadzkiej szkoły bibulkarckiej. Nie mam jednak oporów, bo lubię ludzi. Wiem, że prędzej czy później wyrosnie mi konkurencja, ale taka jest kolej rzeczy.

Andrzej Kusz jest całkowicie oddany sztuce bibulkarckiej. Poświęca pracy w bibule każdą wolną chwilę, jakby w przekonaniu, że bez tego zajęcia trudno byłoby mu funkcjonować. A może to swego rodzaju misja? W końcu ma świadomość, że dzięki niemu w okolicznych wsiach, w Solinie, Myczkowcach, Zwierzyniu czy Łobozewie, już całkiem sporo osób para się tym zajęciem. Z pożytkiem dla siebie i dla przyjeźdnym.

W Bóbrce pojawiają się goście z Warszawy, Poznania czy Gdańska, którzy zwykle po raz pierwszy słyszą o bibulkarstwie. Nie mieli dotąd

–

Bibulkarstwo – wymarłe po wojnie, a od kilkunastu lat odradzające się rękodzieło, polegające na robieniu ozdobnych kwiatów: maków, stokrotek, chabrow czy niezapominajek z bibuły. Było to tradycyjne rzemiosło w Małopolsce, znane też m.in. na Podkarpaciu. Bibulkarstwem zajmowały się głównie kobiety, które przystrajały potem swoimi wyrobami miejsca sakralne i domostwa. Po pewnym czasie wykształciły się rozmaite techniki: wycinanie, skręcanie, zwijanie i rolowanie Obecnie tworzeniem ozdób z bibuły (nie tylko motywów kwiatowych) zajmują się twórcy ludowi kultury, wzywający dawne tradycje. Co ciekawe – sztuki bibulkarckiej uczyć się od pewnego czasu także mężczyźni, czego przykładem bohater tekstu i wielu mu podobnych, zarówno w Bieszczadach, jak poza nimi. Dla części osób bibulkarstwo stało się sposobem na życie i źródłem utrzymania, podobnie jak rękodzieło z koralików, wikliny, drewna lub innych materiałów.



OGŁOSZENIE

GNP.6840.26.2019.2020

Działając w oparciu o uchwałę Rady Miejskiej w Ustrzykach Dolnych Nr III/16/14 z dnia 29 grudnia 2014 r. w sprawie wyrażenia zgody na sprzedaż nieruchomości mienia komunalnego położonych na terenie gminy Ustrzyki Dolne – Burmistrz Ustrzyk Dolnych ogłasza:

I publiczny przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż

1) niezabudowanej nieruchomości położonej w miejscowości Brzegi Dolne, oznaczonej numerem działki 258/6 o powierzchni 0,2149 ha.

Cena wywoławcza nieruchomości : 41.500,00-zł
Wadium : 5.000,00-zł

2) niezabudowanej nieruchomości położonej w miejscowości Brzegi Dolne, oznaczonej numerem działki 258/7 o powierzchni 0,2108 ha.

Cena wywoławcza nieruchomości: 39.500,00 - zł
Wadium: 4.000,00 - zł

Dla opisanych nieruchomości prowadzona jest księga wieczysta nr KS2E/00020856/5 przez Sąd Rejonowy w Lesku Zamiejscowy Wydział VII Ksiąg Wieczystych w Ustrzykach Dolnych.

Na przedmiotowe nieruchomości Gmina Ustrzyki Dolne nie posiada opracowanego planu zagospodarowania przestrzennego ani nie została wydana decyzja o warunkach zabudowy i zagospodarowania przestrzennego terenu, o której mowa w przepisach o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym.

Przetarg odbędzie się w dniu 16 lipca 2020 r. o godz. 10⁰⁰ w Urzędzie Miejskim w Ustrzykach Dolnych w sali nr 13.

W przetargu mogą brać udział osoby fizyczne i prawne, które wpłacą wyżej podane wadium w pieniądzu na konto nr 93 8621 0007 2001 0012 3347 0003 w Bieszczadzkim Banku Spółdzielczym w Ustrzykach Dolnych, najpóźniej do dnia 10 lipca 2020 r.

Wpłacone wadium zostanie:

- zaliczone na poczet ceny nabycia, jeżeli osoba wpłacająca wadium wygra przetarg,
- zwrócone, jeżeli osoba wpłacająca wadium nie wygra przetargu.

Jednocześnie informuję, iż nie przystąpienie do zawarcia umowy notarialnej na sprzedaż nieruchomości opisanej w ogłoszeniu w wyznaczonym terminie spowoduje przepadek wadium zaliczonego na poczet nabycia.

Uczestników przetargu obowiązują wprowadzone w kraju wymogi sanitarne

tj. uczestnictwo w maseczkach ochronnych, rękawiczkach jednorazowych oraz zachowanie bezpiecznej odległości tj. minimum 2 metry pomiędzy uczestnikami.

Zastrzegam sobie prawo odstąpienia od przetargu bez podania przyczyn.

up. Burmistrza

Pani Kierownik Wydziału Gospodarki Nieruchomości i Zagospodarowania Przestrzennego – Alicja Kisielewicz



OGŁOSZENIE

GNP.6845.15.2020

Informuję, iż w oparciu o art. 35 ust. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (jednolity tekst Dz. U. z 2020 roku poz. 65) oraz w oparciu o § 4 ust. 1 i ust. 7 uchwały nr XLVI/329/06 Rady Miejskiej w Ustrzykach Dolnych z dnia 30.08.2006 r. w sprawie zasad nabywania, zbywania i obciążania nieruchomości gruntowych oraz ich wydzierżawiania lub najmu na okres dłuższy niż trzy lata - w siedzibie Urzędu Miejskiego w Ustrzykach Dolnych przy ulicy Kopernika 1 na tablicy ogłoszeń i na stronie internetowej www.ustrzyki-dolne.pl w zakładce BIP w dniach od 12 czerwca 2020 r. do dnia 06 lipca 2020 r. zostanie podany do publicznej wiadomości wykaz nieruchomości stanowiących własność Gminy Ustrzyki Dolne: - przeznaczonych do dzierżawy w formie bezprzetargowej zgodnie z obowiązującymi przepisami w tym zakresie tj.: **część działek nr 942 i 943 o powierzchni 0,0125 ha**, położonych w miejscowości Ustrzyki Dolne z przeznaczeniem pod gastronomiczną działalność gospodarczą.

up. Burmistrza

Pani Kierownik Wydziału Gospodarki Nieruchomości i Zagospodarowania Przestrzennego – Alicja Kisielewicz



OGŁOSZENIE

Informuję, iż w oparciu o art. 35 ust. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (tekst jednolity Dz. U. z 2020r. poz. 65 z późn. zm.) w siedzibie Urzędu Miejskiego w Ustrzykach Dolnych, przy ulicy Kopernika 1 zostanie podany do publicznej wiadomości poprzez wywieszenie na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miejskiego w Ustrzykach Dolnych przy ulicy Kopernika 1 i na stronie internetowej www.ustrzyki-dolne.pl w zakładce BIP w dniach od 12.06.2020 r. do 27.07.2020 r. wykaz nieruchomości stanowiących własność Gminy Ustrzyki Dolne **przeznaczonych do sprzedaży:**

w formie bezprzetargowej na rzecz najemcy lokalu mieszkalnego:
- nieruchomości zabudowana **budynkiem mieszkalnym jednorodinnym nr 51 przy ulicy Nadgórnej w Ustrzykach Dolnych**, o powierzchni użytkowej 62,20 m² wraz z pomieszczeniami przynależnymi (piwnica i pomieszczenie gospodarcze) o łącznej powierzchni 42,10 m² oraz udziałem 1/1 w **dzialek nr 542/2** o powierzchni 0,0686 ha

up. Burmistrza

Pani Kierownik Wydziału Gospodarki Nieruchomości i Zagospodarowania Przestrzennego – Alicja Kisielewicz

Sprzedam lub zamienię na samochód osobowy działkę budowlaną z WZ o pow. 40 arów w Ustrzykach D. - Hoszowie przy drodze 896. Cena 95000 zł do uzg. Tel. 509-359-494



INFORMACJA

Działając zgodnie z art. 35 ust. 1 i 2 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz. U. z 2020 r. poz. 65 ze zm.), informuję, że w Urzędzie Gminy

w Czarniej (Czarna Góra 74) na tablicy ogłoszeń wywieszony został wykaz na okres 21 dni, to jest od dnia 12.06.2020 r. do dnia 03.07.2020 r. nieruchomości przeznaczonych do najmu:

1) część działki nr ew.: 659/6 o pow. 0,0792 ha, położonej w m. Polana, na czas oznaczony - 3 lata z nowym najemcą,

2) część działki nr ew.: 659/2 o pow. 0,0167 ha oraz cz. działki nr ew.: 659/5 o pow. 0,0167 ha, położonych w m. Polana, na czas oznaczony - 3 lata z nowym najemcą,

3) część działki nr ew.: 659/2 o pow. 0,0129 ha oraz cz. działki nr ew.: 659/6 o pow. 0,0693 ha, położonych w m. Polana, na czas oznaczony - 3

lata z nowym najemcą,

4) część działki nr ew.: 659/6 o pow. 0,0654 ha, położonej w m. Polana, na czas oznaczony - 3 lata z nowym najemcą,

5) część działki nr ew.: 659/5 o pow. 0,0986 ha, położonej w m. Polana, na czas oznaczony - 3 lata z nowym najemcą,

6) część działki nr ew.: 659/5 o pow. 0,0395 ha, położonej w m. Polana, na czas oznaczony - 3 lata z nowym najemcą,

7) część działki nr ew.: 659/5 o pow. 0,0924 ha, położonej w m. Polana, na czas oznaczony - 3 lata z nowym najemcą,

8) część działki nr ew.: 160 o pow. 0,0350 ha, położonej w m. Olchowiec, na czas oznaczony - 3 lata z nowym najemcą.

Wójt Gminy Czarna

Bogusław Kochanowicz

Reklama na www.bieszczadzka24.pl dociera na CAŁY ŚWIAT

Informacje w redakcji od poniedziałku do piątku w godzinach 8.00-15.00

redakcja@bieszczadzka24.pl

OGŁOSZENIA
DROBNE

OGŁOSZENIA
DROBNE

OGŁOSZENIA
DROBNE

* **ZWROT PODATKU Z PRACY, RODZINNE, URLOPOWE** (Niemcy, Austria, Norwegia, Anglia, Belgia, Holandia) tel. 663 712 920, e-mail: am.ferenc@wp.pl

* **Sprzedam** las w Chwaniowie koło Wojtkówki o pow.1,2 ha. Kontakt 602 126 944,606 713 909.

* **Kupię** mieszkanie w Ustrzykach Dolnych - 3 pokoje + duży balkon do 2 piętra tel. 888 569 976

* **Sprzedam** mieszkanie beczynszowe Czarna Góra o pow. 62.45 m², parter 3 pokoje z dużym balkonem. Cena do uzgodnienia. Tel. 724 507 021

* **KUPIĘ** bez pośredników działkę, dom do remontu lub domek letniskowy w bliskiej okolicy jeziora lub rzeki. Możliwość dożywnego zasiedzenia po sprzedaży. Tel. 514-656-152

* **ZLECE** wykoszenie 40 arów działki w Hoszowie kosą spalinową. Tel. 509-359-494

Redakcja: 29 Listopada 31,
38-700 Ustrzyki Dolne
www.bieszczadzka24.pl;
e-mail: redakcja@bieszczadzka24.pl
Tel. 13 461 28 16; 461 13 22



Redaguje zespół:

Krzysztof Potaczała - redaktor naczelny (wydanie papierowe). E-mail: k.potaczala@bieszczadzka24.pl

Paulina Bajda - redaktor odpowiedzialna (portal internetowy, Facebook). E-mail: p.bajda@bieszczadzka24.pl

Adam Leń - desktop publishing. E-mail: adam.len@wp.pl

Wydawca: Ustrzycki Dom Kultury, ul. 29 Listopada 31, 38-700 Ustrzyki Dolne, Tel. 13 461 13 22

Nakład: 1600 egzemplarzy

Druk: Polska Press Sp. z o.o., oddział Poligrafia, drukarnia w Sosnowcu

Redakcja zastrzega sobie prawo redagowania tekstów dziennikarskich, ich skracania, opatrywania własnymi tytułami i śródtytułami, ilustrowania. Za treść ogłoszeń, reklam i listów redakcja nie odpowiada.



Stop głupocie!



Moim zdaniem

Chyba każdy mieszkaniec Ustrzyk i Bieszczadów wie, iż z kolejnej wyborczej obietnicy PiS-u wyjdzie wielkie g... Chodzi mi o przywrócenie ruchu kolejowego na trasie od Łupkowa po Krościenko, czy choćby z Zagórze do Krościenka. Nie winię tutaj lokalnych działaczy PiS, bo oni niewiele mogą. W PiS obowiązuje zasady wodzowskie, o wszystkim decyduje mityczna góra, doly zaś mają wernie służyć, by nie wypaść z łask. Czasami doły, by się przypodobać górze, robią coś idiotycznego, jak choćby szopka z listą przebojów Trójki. Zostają za to skarcone, ale tak po prawdzie krzywdą im się nie stanie. Tak więc wracając do kolei, miała ona zostać uruchomiona i to na dodatek na historycznej trasie z Budapesztu do Lwowa. To byłoby zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Niemniej jednak

sporo osób uwierzyło. Każdy przejazd kolejowej drezyny na trasie z Zagórze do Krościenka budził nadzieję. Każde gmeranie przy torach przez kolejowych pracowników zwiastowało powrót pociągów. Moja wiedza jest nieco inna. Po prostu często tymi torami skracam sobie drogę do domu. Skracam i widzę, w jakim są stanie. Na okoliczność przejazdu któreś z kolei wizytacji z Urzędu Marszałkowskiego i dyrekcji kolei, połączono szyny dremem zbrojeniowym, metalowymi kątownikami. Zrobiono to po to, by szyny najnormalniej w świecie się nie rozlażyły, a delegacja wraz z wiozącym ją szynobusem nie wylądowała, dajmy na to, w Strwiężu. Stan drewnianych podkładów kolejowych jest tragiczny. Niektóre całkowicie zniknęły, inne w wydrążonych przez korniki otworach goszczą całe rodziny jaszczurek, zaskrońców. Słowem to skansen, z którego co najwyżej korzystać mogą drezyny rowerowe z Uherzec.

Jak się jednak okazuje, pakuje się w ten cały cyrk niemal i nikomu niepotrzebne pieniądze. Jednak nie w torowisko, a w całą oprawę torowiska. Jest takie miejsce w Ustrzykach przy ulicy 1 Maja, z którego można wejść na Gromadyń. Powtarzam – wejść, bo wjazd cymkolwiek, nawet konnym wozem, jest niemożliwy. Kolej jest zdania, że jest



Fot. Wiesław Stebnicki

to niezwykle ważne miejsce, gdzie z ruchliwą linią kolejową krzyżuje się równie ruchliwa ulica. By uniknąć nieszczęścia kolejarze obstawili owo miejsce kilkoma znakami. Szkoda, że tylko znakami. Proponowałbym, żeby ustawiono tam ruchome zapory, no i rzecz jasna budynek dla droźnika.

Gdy zobaczyłem te nowiułkie znaki, z których każdy łącznie z umocowaniem kosztuje kilkadziesiąt złotych, złapałem się za głowę. Nie wiem – śmiać się czy płakać. Ktoś wydał kilka tysięcy złotych po to, by poinformować tych, którzy nigdy nie przyjadą do miejsca nie przejeżdżając (bo drogi żadnej nie ma), że mają uważać na przejeżdżające pociągi, których rzecz jasna też nie ma i nie będzie. Podejrzewam, że takich

miejsce na trasie z Łupkowa do Krościenka jest dużo więcej. Wychodzi, że ktoś, w pełni świadomie, wydał dziesiątki tysięcy na ten cały cyrk. Osoba, która podjęła taką decyzję, ma „nie po kolei” w głowie albo znajomego zioma, który takie znaki produkuje. Logiczną kolejną rzeczą powinna ona zwrócić co do grosza kretynisko wydane pieniądze. Państwowe, czyli nasze.

To jeszcze nie wszystko. Chodzi mi o znaki STOP, jakie ustawiano przy drogach w miejscach przejazdów kolejowych. Okoliczni kierowcy doskonale wiedzą, że na żaden pociąg nigdy się tutaj nie natkną. Dlatego też czasami zapominają o konieczności zatrzymania się. Na to czeka policja i mandat gotowy. Policji winić nie można, bo najnor-

malniej w świecie stoi na straży prawa i musi je egzekwować. Natomiast dźwiżyć się, że władze odpowiedzialne za oznakowanie dróg nie wystąpią o zlikwidowanie, nikomu niepotrzebnych i śmiesznych w swej wymowie, znaków.

Wszyscy wiedzą, że kolej w Bieszczadach kaput, a każda z odpowiedzialnych za to osób udaje, że jest zupełnie odwrotny. Mieszkam sto metrów w linii prostej od torów, w ubiegłym roku doliczyłem się chyba z czterech przejazdów kolejowej drezyny, czyli mniej więcej raz na kwartał. Proszę mi powiedzieć, czy dla dobrego samopoczucia kolejarzy można narażać setki tysięcy kierowców na możliwość otrzymania mandatu za niezatrzymanie się na przejeździe, który od kilkunastu lat nie widział pociągu?

To obsługa drezyn, także tych rowerowych, powinna zadbać o bezpieczne przekroczenie jezdni. Wystarczy jeden pracownik z chrogiewką, by na moment wstrzymać ruch na drodze i umożliwić przejazd drezyny. Gdyby kiedykolwiek – w co zupełnie nie wierzę – pociągi ruszyły, wystarczy wyciągnąć gotowe znaki z kolejowego magazynu i wszystko będzie cacy. Jednak niech ręka boska broni tego, który ponownie stawiałby znaki w takich punktach, jak to na zdjęciu.

WIESŁAW STEBNICKI

KONKURS BIESZCZADZKIEGO PARKU NARODOWEGO



Fot. Magdalena Zawadzka

Piękną wiosnę czują nie tylko turyści odwiedzający Bieszczadzki Park Narodowy, ale także bohater naszej zagadki, który właśnie teraz ma swoje gody. Trwają one od połowy kwietnia aż do lipca. Gatunek ten często bywa mylony z wężem, z powodu uwstecznionych kończyn. Tak jak inne jaszczurki, w momencie zagrożenia odrzuca ogon, który wijąc się przyciąga uwagę napastnika. Spotykane są różne odmiany barwne, od rdzawej, przez brązową, po szarą. Na zdjęciu widoczny jest samiec w pięknym i dość rzadkim turkusowym ubarwieniu (niebieskie plamki). Jesienią zapada w sen zimowy, przy czym może zimować wspólnie z innymi jaszczurkami, węzami, czy płazami. W Polsce podlega częściowej ochronie gatunkowej.

Jak nazywa się opisane przez nas zwierzę? Odpowiedzi prosimy przysłać wyłącznie mailowo na adres: konkurs@bieszczadzka24.pl do (...) Spośród prawidłowo nadesłanych odpowiedzi rozlosujemy nagrodę, która będzie do odebrania w Ośrodku Edukacji Ekologicznej BaPN w Ustrzykach Dolnych lub po uzgodnieniu zostanie przesłana przesyłką pocztową. Prawidłowa odpowiedź zagadki z nr 9/2020 „GB” to: TRZYSZCZ PŁASKOWY (cicindela hybrida). Nagrodę wylosowała Pani Małgorzata Norska.

Pasje w „Synagodze”

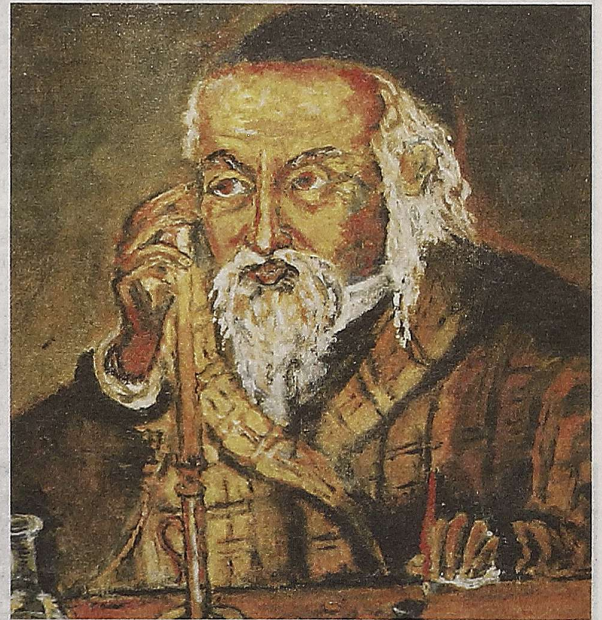
Od 1 czerwca w leskiej galerii artystycznej „Synagoga” można podziwiać prace bieszczadzkich artystów.

Obstrzeżenia związane z pandemią spowodowały, że w tym roku nie było uroczystego otwarcia galerii sztuki. Na tegorocznej wystawie zgromadzono ponad tysiąc prac, między innymi takich artystów jak Robert Onacko, Lucja Wasińska, Agata Bąk, Zdzisław Twardowski, Andrzej Kijowski, czy też – jakżeby inaczej – Zdzisław Pękalski. Niekiedy pasji artystycznej „oddają” się całe rodziny. Tak jest w przypadku państwa Kordyacznych.

- Jak dotąd wystawę odwiedziło siedemdziesiąt osób, co jest wynikiem przyzwyczajenia, biorąc pod uwagę panujące okoliczności – mówi Jolanta Kordyaczna, kustosz wystawy. – Zachęcam do zwiedzania.

W galerii „Synagoga” prezentowane jest nie tylko malarstwo, ale też rzeźba i grafika.

RO



EFL
GRUPA CRÉDIT AGRICOLE

Wybierz nasz pomysł na leasing

PRZEDSTAWICIELSTWO W SANOKU
38-500 Sanok, ul. Orzeszkowej 5
tel. 13 464 22 64, 13 464 22 66

ADAM AGD RTV

Ustrzyki Dolne, ul. 29 Listopada 26
tel. 13/461 29 39; 13/461 24 54

ZAPRASZAMY NA ZAKUPY